Nr. 17 Poznań, Niedziela dnia 23 Kwietnia 1905. Rok IX.

PRACA

Telefon 1465.

Jeszcze wciąż można odnawiać przedpłatę!

Prosimy zażądać numerów okazowych i podawać je znajomym z zachętą do prenumeraty.

Prosimy odciąć.

Unterzeichneter abonirt hiermit bei dem Kaiserlichen Postamt für die Monate Mai-Juni die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca“

(Abteilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)

für 0,84 m.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 1,25 M. erhalten zu haben, bescheinigt

.............................., den ....

Kaiserl. Post..............................



R. Koczorski,

POZNAŃ, Stary Rynek 78, naprzeciw odwachu (pałac hr. Działyńskich.)

Największy skład i fabryka wytwornego obuwia.

Obuwie dla dzieci, panienek i chłopców czarne i kolorowe.

Obuwie dla pań, pantofelki i buciki gustowne balowe i ślubne.

Obuwie dla panów modne w najrozmaitszych fasonach, **ciżmy i długie buty** do konnej jazdy i do polowania. 575



Ceny przystępne. Stawiam czoło każdej uczciwej konkurencyi.

Nowy polski skład bławatów.

Niniejszem mam zaszczyt donieść, że 1-go kwietnia r. b. otworzyłem **w Poznaniu** przy **Placu Piotra Nr. 3,** przystanek koleji elektrycznej

skład

materyałów na suknie, płócien, stołowizny, kobiercy, firanek itd.

Polecając się łaskawym względom

pozostaję

z wysokim szacunkiem i poważaniem

Michał Spychalski.



710

Najtańsze, najlepsze i najkorzystniejsze

muzyczne instrumenta

nabyć można u

Założono 1790. **W. Eibicha.** Założono 1790.

Stara polska firma w Poznaniu.

I skład: ul. Wrocławska 60, narożnik Starego Rynku

II skład: ul. Dolna Wałowa 1.

Amerykańska gitarowa cytra zaraz bez nauki do grania z nutami, wszelkiemi polskiemi piosenkami i tańcami za 8,50 marek. Lepsze 10 mk., 15 mk. i 20 mk.

Bóg z nami! **Bóg z nami!**

Wielka - Warszawska - Koncertowa - Harmonika.

Harmonika Warszawska wyszła w tych dniach 33 cm. wysoka, 55 cm. długa, 17 cm. szeroka, miech z dwiema mocnemi balkami opatrzony, z niklowej blachy okute narożniki, sprężynki stalowe, organowy głos, 2 klucze, **tylko 4 marki,** 3 klucze 5 mk. 4 klucze 6 mk. — **Krakowska harmonika:** 5 lat gwar., cała z baleczek budowana, które są całkiem niklową blachą okute, dubeltowe dno, tak iż klawiatura nie może nigdy się ściągnąć, 2 klucze 48 głosów tylko **7 mk.** 3 klucze, 70 głosów 8 mk. 4 klucze, 90 głosów tylko 10 mk **Harmonika** 6 kluczy prawdziwych do wyciągania, 136 głosów, tylko 15 mk. — **Skrzypce** dla każdego gracza, imponujące, wartość 10 mk., tylko 6 mk z smyczkiem. **Skrzypce** lepszego gatunku z pudełkiem i smyczkiem tylko 10 mk. **Skrzypce** dla preperandów z pudełkiem i smyczkiem tylko 12 mk. **D. Klarnety** czarne z 5 klapami na wałkach mosiężne tylko 6 mk. **A. B. C. D.** i **Es. klarnety** z 6, 7, 8, 10, 12 klapami od 10 do 30 mk. i t. d. **Fletowersy, trąbki, bębenki** dla szkół, muzyki orkiestrowej i straży ogniowej. **Cello i kontrabasy** w różnych gatunkach. Do **akordowej i gitarowej cytry polskie nuty:** „Boże coś Polskę", „Z dymem pożarów" i wszelkie inne istniejące.

Zamówienia odsyła się pod największą zadowalniającą usługą przez pocztę. **Polskie i niemieckie cenniki** na żądanie gratis i franko.

Aby uniknąć zwłoki w przesyłkach proszę adresować wyraźnie jak następuje: **W. Eibich, Posen, Breslauerstr. 60,** oraz proszę swój adres własny pokładnie podać.

A. Cybulski,

księgarnia w Poznaniu

poleca:

Alkohol a miłość	0,25 m.
Bakterye i ich znaczenie	0,25 „
Choroby dziecięce	0,25 „
Czem zastąpić napoje alkoholiczne?	0,50 „
Dokąd się udać na wypoczynek letni?	0,25 „
Jak młodzież uświadamiać o życiu płciowem?	0,25 „
Jarska kuchnia. Przepisy smacznych a zdrowych potraw roślinnych,	2,25 „
Ilustrowany mały kucharz jarski	1,00 „
Jarstwo podstawą zdrowia, szczęścia i życia	0,20 „
Nerwowość oraz choroby przewlekłe zwłaszcza u kobiet w małżeństwie, ich przyczyny i zapobieganie	0,25 „
Onanizm. Samogwałt. Objawy, przyczyny, następstwa, zapobieganie, leczenie.	1,00 „
Opieka nad dzieckiem przed urodzeniem i nad nowonarodzonem z ryc.	0,50 „
Pijacze choroby i ich leczenie, z 17. ryc.	0,50 „
Przestrogi i rady zdrowotne dla dorosłej młodzieży	0,25 „
Robaki w ciele ludzkiem, ich powstawanie i usuwanie, z 24 ryc.	0,55 „
Samopomoc w cierpieniach i chorobach płciowych z ryc.	1,75 „
Sposoby i przepisy lecznictwa przyrodnego. 48 r.	0,30 „
Szybkie usuwanie różnych cierpień (ból głowy, migrena, krztusiec, bicie serca) z ryc.	0,50 „
Talizman zdrowia i piękności z rycinami	0,75 „
Umiarkowanie, tegoż znaczenie dla życia i zdrowia	0,25 „
Zakon małżeństwa, czyli rozbiór obowiązków małżeńskich. Katechizm Zdrowotny dla małżonków	0,90 „
Z kim się żenić, kogo brać za męża?	0,50 „
Zboczenia życia płciowego	0,50 „
Życie płciowe i jego znaczenie z ryc.	2,00 „

Koszta przesyłki wynoszą 10 fen. od każdej marki. Ceny dla Galicyi: Każde 10 fen. = 12 hal. 119

Prawdziwe

„Manru" i „Drużba"

bezalkoholiczne napoje orzeźwiające, przez lekarzy zalecane, doskonale działające na organizm,

do użycia w każdej porze roku

latem ze zimną wodą jako

Manru i Drużba-Napój

zimą z gorącą wodą jako

Manru i Drużba-Puncz

a niezmięszane jako

Manru i Drużba-Likier.

Sposób użycia na każdej butelce.

B. Kasprowicz

Fabryka prawdziwych wódek i likierów zdrowotnych,

deserowych i czystych.

Gorzelnia koniaków. 43

Mężczyzna

młody Polak katolik z wykształceniem akademicznem posiadający 90,000 marek majątku, pragnąłby z powodu braku odpowiedniej znajomości w Częstochowie w celu matrymonialnym poznać

pannę

młodą przystojną z odpowiedniem wyposażeniem.

Łaskawe oferty proszę nadesłać wraz o ile możności z fotografią (postlagernd) p. lit. **W. Z. 45,000** Preussisch-Herby O/Schl. 241

Rzecz traktuje seryo — dyskrecya zapewniona.

Lekcye

gramatyki, dziejów ojczystych, stylistyki, literatury, deklamacyi dla uczennic na rozmaitym stopniu wskaże

Helena Rzepecka

przełożona pensyonatu, 218

Poznan, Św. Marcin 9 II.

Nowo otworzony! **S. Zientek.** Nowo otworzony!

Poznań, Stary Rynek Nr. 74

211

w domu Banku Przemysłowców.

Wielki skład garderoby męzkiej i dla chłopców.

Olbrzymi wybór!!! Od najtańszych do najlepszych.

Ubrania męzkie	począwszy od Mk.	**9,00**
Paletoty „	„ „ „	**10,00**
Spodnie „	„ „ „	**1,90**
Ubranka dziecięce	„ „ „	**2,00**
Paletociki „	„ „ „	**3,00**

Zamówienia podług miary wykonuje szybko, podług najnowszej mody, przy bardzo nizkich cenach pod gwarancyą nadzwyczaj dobrego leżenia.

Ubrania zawodowe, spodnie do pracy nadzwyczaj trwałe i mocno odszyte, jako też wszystkie artykuły w zakres tej branży wchodzące.

Nadzwyczaj tanio! **Nadzwyczaj tanio!**

Nowości wełniane i jedwabne

na sezon wiosenno-latowy

w materyach na suknie

poleca

51

W. Łyczyński

Skład bławatów, płócien i bielizny.

Poznan, Plac Wilhelmowski 2,

przystanek koleji elektrycznej. **Telefon 1139.**

Nowości

w materyach krajowych i zagranicznych

na porę wiosenno-latową nadeszły w wielkim wyborze

Poznań. W. Frąckowiak, Plac Wilhelmowski 18 „Dom Przemysłowy".

Pracownia eleganckiej garderoby męskiej.

Przewielebnemu Duchowieństwu polecam znane z dobrego kroju **rewerend i płaszcze.** 128

biberye wszelkiego rodzaju wykonuje gustownie i tanio.



Największa fabryka powozów i uprzęży

Dzieciuchowicz & Laube,

Poznań, ul. Wrocławska 14/15

Pierwsza i największa fabryka tegorodzaju w miejscu.

Poleca własnego wyrobu **powozy kryte, półkryte, otwarte** i t. d. 738

Homąta, szory i półszorki, oraz wszelkie **artykuły powozowe i do zaprzęgu.**

Reparacye wykonujemy szybko i trwale.

Ucznia

z odpowiednim wykształceniem szkólnem, poszukuje do **handlu żelaza** 204

L. Sura,

NAKŁO nad Notecią

Telefon nr. 45.

Telefon 1312. **Telefon 1312.**



J. STARK

Poznań, ul. Wilhelmowska 21

poleca

Sztućce stołowe **Christofla i Comp. w Paryżu,** w gładkich i stylowych fasonach, najdoskonalsze galwaniczne posrebrzenie po cenach fabrycznych.

12 łyżek stołowych mk. 26,40	12 łyżeczek do kawy mk. 13,60
12 widelcy „ „ 26,40	1 łyżka półmiskowa „ 6,40
12 noży „ „ 28,80	1 widelec „ „ 9,20

1 łyżka wazowa złocona mk. 11,20.

Pojedyncze sztuki sprzedaje po cenie tuzinowej. Oprócz tego zwraca uwagę na wielki wybór innych pięknych i praktycznych sprzętów jak: **jardiniery, tace, talerze do ciast, serwisy do kawy i herbaty, zastawy do owoców, kandelabry, lichtarze itp.** 212

Odnawia i posrebrza zużyte sztućce i sprzęty. — Przyjmuje stare srebro w zamian.

NOWOŚĆ. Tabaka zdrowia przeciw katarowi. Tabaka zdrowia przeciw katarowi. NOWOŚĆ.

L. Kaniewski

w Poznaniu, ul. Wodna nr. 2

poleca swą od roku 1846 istniejącą

FABRYKĘ TABAKI.

Zwraca mianowicie uwagę *na tabaki ruskie, holenderkę, prawdziwy Nessing.*

poleca także swój znany

skład cygar

li tylko odleżałych

Papierosów i tytuni

w najrozmaitszych gatunkach. 46

Nr. 17. Poznań, Niedziela, dnia 23 kwietnia 1905 r. Rok IX.

PRACA

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Treść nr. 17-go.

Dorocznym obyczajem ojców obchodzimy wielką pamiątkę Zmartwychwstania.

Gdy przy święconem wzajemne popłyną życzenia, stanie przy Was, Czytelnicy, „Praca“ jako wierny przyjaciel, który zagląda do Was co tydzień, niosąc garść wiadomości dobrych lub złych, jak Bóg da, niosąc opowieści, ryciny i wszelaką strawę duchową. Łącząc się z Wami w tej chwili świątecznej, życzymy, aby zmartwychwstały ojców cnoty, żywa wiara i ukochanie wszystkiego co polskie, aby wybiła wkrótce dla nas godzina zupełnego zmartwychwstania i — życzymy Wam zarazem

Wesołego Aleluja!

Redakcya „PRACY“.

Pamiętajmy o swoich!

Niedawno toczyła się w jednym z naszych dzienników zacięta polemika w sprawie naszych pań, kupujących swoje zapotrzebowania u obcych. Po pewnym czasie pismo to uznało sprawę za mało znaczącą i obróciło ją w żart, pocieszając owe panie tem, iż przecież tylko o fatałaszki chodziło, że niezadługo napisze także coś o panach, którzy podobnie owe fatałaszki kupują w Berlinie.

Jakżeż można rzecz, którą z początku za bardzo żywotną uważano, nakoniec w śmiech obracać?

Wśród czytelników powstało też mniemanie, że na zmianę tonu wpłynęły właśnie owe panie, a zwłaszcza żona pewnego redaktora, która przeważnie u żydów kupuje. Pani ta lekceważy sobie opinię publiczną zupełnie. Jako moment charakteryzujący warto nadmienić, iż gdy ją „Pokraka“ zamieściła w gronie osób, kupujących u żydów, odezwała się, iż miło jej być zaliczoną do grona tak poważnych osób. Miła doprawdy osóbka i milutchny redaktor, który poważne rzeczy w żarcik obraca.

Niestety, tak „poważnie“ zapatruje się wielka część naszego społeczeństwa na sprawy wielkiej doniosłości ze szkodą dla ogółu.

Niedawno przecież toż samo pismo z wielkiem oburzeniem donosiło o tem, iż do kościoła Pofranciszkańskiego chodzą zawsze jeszcze pewne piekarki i rzeźniczki, jak gdyby nie było dość miejsca w Farze, Tumie i t. d. A kto dał szlachetny przykład, jeżeli nie inteligencya, której jeszcze nie dawno pełno było w tym kościele, a której nawet i teraz jeszcze tam nie brak?

Wzajemna adoracya o sprawkach inteligencyi nie pisze nic, ale zato oburza się na piekarki i rzeźniczki, które jako mniej doświadczone i wykształcone śmiały się zapatrzyć na czyny t. zw. inteligencyi.

Poważniejsze jeszcze niebezpieczeństwo może atoli sprowadzić na nas obywatelstwo ziemskie, które mimo zagłady grożącej nam od żydów i Niemców, nie fatałaszki, ale towary wartości *setek tysięcy i milionów* z największym spokojem od żydów i Niemców kupuje, niezastanawiając się wcale nad tem, jak ogromną szkodę przemysłowi i kupiectwu polskiemu wyrządza. Wywołuje zdumienie i zgorszenie okoliczność, iż do obywatelstwa tego należą ludzie inteligentni, nawet uchodzący za dobrych i rzetelnych Polaków. Co gorsza, nietylko, że sami *kupują* od żydów i Niemców, lecz wystawiają im także świadectwa, które ci obci z największym pośpiechem drukują i rozsyłają w tysiącach egzemplarzy pomiędzy większych i mniejszych właścicieli ziemskich.

A jakiż tego skutek? Oto że mniej oględny i doświadczony mieszkaniec wsi powie sobie tak: „Jeżeli pan dr. X., znany ze swej inteligencyi, i zaszczycony zaufaniem całego obywatelstwa ziemskiego takie świadectwo żydom czy Niemcom wystawia, w takim razie musiał do tego mieć zupełnie słuszne powody. Dlaczegóż więc i ja nie mam pójść do żyda po to samo?“ Takie skutki musi mieć lekkomyślny krok tej inteligencyi.

I cóż to rzekomo zniewala tych panów do kupowania u Niemców i żydów? Czy może tych samych przedmiotów i w tej samej cenie u rodaka dostać nie mogą? Bynajmniej! Polski przemysłowiec i kupiec stanowczo tych samych przedmiotów i w tej samej cenie, a niekiedy nawet w niższej, dostarczyć może. Lecz jakoś temu Polakowi milej kupić u żyda lub Niemca, bo nie potrzebuje się krępować w wygłaszaniu zdań, powiedzmy delikatnie — bardzo dziwnych, które Niemiec lub żyd z grzecznym przyjmą uśmiechem, choć za plecami się wyśmieją, a zarobiony pieniądz na szkodę polskości obrócą.

Nieraz polski ziemianin przeczyta ogłoszenie, w którem obci polecają jakąś nowość. Rzadko się jednak zdarze, aby czytelnik jaki zapytał polskiego kupca lub przemysłowca, czy taką rzecz posiada na składzie. Często więc i ospałość jest przyczyną straty, którą społeczeństwo polskie ponosi.

Pomijam już przejęcie się sprawą polską do tego stopnia, że wymagałoby pewnego choć małego poświęcenia. Daleko nam do Węgrów i Czechów, którzy z miłości dla sprawy narodowej *wyłącznie* wyroby swych rodaków kupowali, chociaż z początku nie były ani tak doskonałe ani też tak tanie jak obce. Do czego to zamiłowanie wyrobów ojczystych doprowadziło, widzimy dziś, gdy fabrykaty czeskie i węgierskie mierzyć się mogą z najlepszymi europejskimi i gdy dobrobyt tych narodów ogromnie się podniósł. U nas to jeszcze być nie może, gdyż w społeczeństwie naszem są nawet dziś jeszcze osobniki, wykrzykujące, że u nich patryotyzm siedzi w kieszeni!

Jak zaś odwdzięczają się nam żydzi za przywiązanie naszego obywatelstwa do nich? Oto publicznie ogłaszają się naszymi nieprzyjaciółmi. Oto największy dostawca żydowski, który niedawno jeszcze na swej firmie miał obok niemieckich i polskie napisy, dziś ani słówka polskiego na godłach niema, bo wyrzuciliby go ze swego grona hakatyści.

Znane są też przypadki, gdzie żyd, potrzebując zapałek, a niemając odpowiedniego handlu żydowskiego na swej ulicy, o kilka ulic dalej posyłał, byleby tylko od Polaka nie kupić i dochodu kilku fenygów mu nie przysporzyć. Żyd widzi jasno, co za znaczenie ma solidarność, lecz Polak nie posiada widocznie dość inteligencyi, aby sobie zdawać z tego sprawę.

Uwagi powyższe nasunęły się piszącemu ztąd, że przypadkowo wpadły mu w ręce rozmaite nowe cenniki żydów i Niemców, w których znajdują się dość liczne polecenia Polaków, pomiędzy nimi nawet wybitnych.

Szczyt mądrości atoli okazał jeden z polskich właścicieli, który skonstruował pewną część do machiny parowej, na co otrzymał patent. Otóż pan ten nie miał nic pilniejszego, jak oddać *wyłączną* sprzedaż żydowi! Polak więc, potrzebujący tej części, z łaski Polaka musi się koniecznie udać po nią do żyda.

Również ciężko pójdzie i zakładanym przez samych gospodarzy „Rolnikom.“ Już dziś bowiem niektórzy gospodarze głoszą, że „Rolnik“ zawsze nieco taniej kupuje, a drożej sprzedaje od żyda. Jakżeż się to dzieje? Wytłomaczenie proste.

Przebiegły żyd, dowiedziawszy się jak najdokładniej, jakie ceny są na targu i jakie ma „Rolnik,“ wsiada na wózek, jeździ od komina do komina i kupuje i sprzedaje o kilka fenygów korzystniej, byleby tylko „Rolnika“ do interesu niedopuścić i odrazu podciąć mu egzystencyę. Wie on przytem dobrze, że chwilowo nie dość korzystnie załatwi interes, lecz na to liczy, że później, gdy obywateli do „Rolnika“ zniechęci, z łatwością stratę powetuje.

Inne jeszcze zachodzą przypadki. Obywatel przychodzi do Polaka i żąda cennika, z tym cennikiem zdąża do żyda i tam pyta o cenę potrzebnego towaru. Żyd poda zawsze zrazu cenę wyższą. Skoro mu jednak obywatel oświadczy i udowodni, że u kogo innego taniej może kupić, żyd natychmiast cenę obniża, chociażby sprzedał bez żadnego zarobku, byleby tylko kupującego nie wypuścić i zatrzymać go na później, poczem go już niezawodnie odpowiednio wyzyska.

Czyż Polakowi, jeżeli jest kupcem uczciwym, wolno tak postępować?

A przecie pomimo takich machinacyi Polacy całymi szeregami dążą do handlów obcych ze szkodą dla siebie i całego społeczeństwa.

Kiedyż nareszcie przejrzymy?

Er.

Słowackiemu
w 56 rocznicę zgonu.

Ciało Twe z prochu, więc i w proch zetlało,
Jako będące tylko szatą ducha...
Lecz królowanie Twoje pozostało
Nad ludem smętnym, który pieśni słucha
I nad tą ziemią w krwawych rosach całą
Bo, żeś zesłany był jak zawierucha,
Piorunów pełna, która świat przewala,
I z której wszczyna się odrodzeń fala...

Jako pies ległeś przy Ojców sztandarze
Gotowy skonać, niż pić hańby czarę,
I zapatrzony w wolne zmarłych twarze
Przeciw niewierze z siebieś czerpał wiarę
I sercęś spalał, gdzie święte ołtarze
Przeszłości sławnej, aż zmieniony w marę
Jak król-duch błądzić poszłeś ponad ziemię,
Dźwigając dotąd zapoznania brzemię.

Naokół ludzie, jak zaklęte drzewa...
Każde stąpnięcie Twe — to krwawe bluzgi
I z ziemi trupim zapachem owiewa,
Gdyż gniją w błocie niewolniczem mózgi,
Więc je ozdrawiasz, targasz drżące trzewa
I gnasz shańbioną wężowemi rózgi
Matkę-Ojczyznę gnasz, o Duchu-królu
W męce trwający sam — w stokrotnym bólu...

Żyjącym dałeś wieszcze przykazanie,
W testamentowych przekazane słowach,
Z kagańcem w mroki iść, jako świtanie
I zorzę niecić w omroczniałych głowach
I wierzyć w przyszłość, wierzyć w zmartwychwstanie
I rdzą być, która na stali okowach
Plamą się zjawia i gryzie i trawi

. . . .

Stałeś się gwiazdą, która ciemność chłonie
Rozpromieniając się wśród mroków nocy
I jaśń wciąż płynie z Ciebie ponad błonie
I bije mocą przeciwko przemocy,
Bo żeś za życia był w męki koronie —
Niezrozumiany, jak dawni prorocy,
Głoszący prawa — praw i prawd — odwieczne
I słonecznością swoją mrokom sprzeczne...

Sam proch jest niczem, jednak nad mogiłą

Awanturniczy polityk.

Gdy ks. dr. Stephan w swej „Gazecie Katolickiej" rzucil slowo o „możności porozumienia" się z ruchem narodowym na G. Śląsku, co poczytywaliśmy za sztuczkę przedwyborczą, tem większą wzbudził nadzieję w „Orędowniku," że da się nawiązać stosunek z księżmi górnoślązkimi, grupującymi się wokoło tejże gazety. Oddając się tejże nadziei „Orędownik" wyznał jednak, że nie wie „gdzie są ci księża, za których przemawia „Gazeta Katolicka" powątpiewał nawet czy wogóle istnieje jaka poważna grupa księży, chcących porozumieć się z narodowcami i wielkiego zaufania do nich mieć nie mógł, bo, jak pisał, „nic zbiorowo nie zdziałali, co upoważniałoby do przekonania, iż życzą sobie wzmocnienia poczucia narodowego u ludu." Jak inne gazety, „Orędownik" znał tylko księży górnoślązkich idących szlakiem niemieckim „także z germanizatorami a nawet hakatystami."

W artykule: W odpowiedzi „Orędownikowi" ks. dr. Stephan wskazał na centrowe komitety wyborcze, istniejące we wszystkich okręgach, jako na ciała, z któremi ewentualnie mogloby przyjść do porozumienia. Było to po prostu wybiegiem ze strony ks. dr. Stephana, bo „Orędownik" nie pytał o komitety centrowe, lecz o księży stojących za „Gazetą Katolicką." Że z komitetami centrowemi na Górnym Śląsku niemożliwem jest porozumienie, przekonaliśmy się oddawna, a między innemi przy wyborach w Żorach, bo porozumienie z Polakami rozumieją one tylko wtedy, gdy ruch narodowy abdykuje z swych celów i wydaje lud polski i wyborców w ich ręce.

Ponieważ „Orędownik" mimo wszystko nie zrzekał się nadziei doprowadzenia do porozumienia z nieznanymi księżmi „Gazety Katolickiej," ks. dr. Stephan tłomacząc mu, że stosunków na G. Śląsku zupełnie nie zna, począł mu je objaśniać w szeregu artykułów: „Czy trzeba zerwać z centrum, aby bronić praw ludu polskiego?" Kto nie wiedział jak ks. dr. Stephan rozumie porozumienie z ruchem narodowym na G. Śląsku, o co w gruncie rzeczy mu chodzi — może przekonać się z tych artykułów dobitnie. A zaprawdę po przeczytaniu ich nie podobno dłużej oddawać się jakimkolwiek nadziejom. „Praca" nie należala wcale do utopistów; z góry wiedzieliśmy, że nie ma porozumienia z „Gazetą Katolicką," a przeszłość polityczna ks. dra Stephana, tłomaczącego: my Polacy na wir Deutsche, zbyt dobrze jest znaną, abyśmy mogli ufać w szczerość jego uczuć i zamiarów. Zresztą wszystko co pisał nosiło zbyt wyraźne ślady sztuczek przewyborczych obliczonych na niedojrzałość polityczną Polaków, abyśmy mogli mieć przekonanie, że chodzi o uczciwe porozumienie się z narodowcami na gruncie polskim. Dzisiaj też, po odslonięciu kart przez ks. dra Stephana możemy powiedzieć zwyczajem „Dziennika Poznańskiego:" myśmy to dawno przewidzieli.

Bo otóż ks. dr. Stephan przedkłada, że centrum jest partyą li tylko polityczną, a nie niemiecko-narodową, a „Kolo Polskie przyznaje się do tych samych zasad w polityce co centrum." Jedyna różnica — mówi ks. dr. Stephan — pomiędzy kołem a centrum jest ta, że członkowie Koła nie stoją w spisie centrowym. I tak ks. dr. Stephan zrobił wspaniałe odkrycie, że nie ma różnicy pomiędzy Kołem polskiem a centrum.

W istocie były czasy, gdy Koło polskie nie było prawie niczem innem jak aneksem stronnictwa centrowego, ale było to w czasach Windhorsta, w czasie kulturkampfu, gdzie centrum stało w opozycyi do rządu, walcząc o prawa katolicyzmu, a tem samem rdzennie zbliżyło się do Koła. Mimo to jednak nawet w tym okresie zupełnego porozumienia z centrum, Koło polskie nie utożsamiało się z centrum, bo dzieliły dwa te stronnictwa narodowościowe różnice. Centrum jest partyą polityczną, jak chce ks. dr. Stephan, ale jest *niemiecką* partyą polityczną i Koło polskie, gdyby wcieliło się w nie, nie przerobiłoby jej na polską, lecz samo zrzec się musiałoby swego polskiego charakteru. To chyba dosyć jasne.

Nie marzyli centrowcy za czasów Windhorsta, aby pochłonąć Koło polskie, tymczasem *dzisiaj* zachciewa się ks. drowi Stephanowi, aby — słuchajcie! — *Koło polskie rozwiązało się i weszło w skład centrum!* Wobec tego trzeba powiedzieć, że ks. dr. Stephan jest *awanturniczym rycerzem politycznym,* co zresztą wiadomo nie od dziś.

Zaślepiony zupełnie do „Gazety Katolickiej" „Orędownik" przeczy jakoby ks. dr. Stephan życzył sobie rozwiązania Koła. Przytaczamy przeto dwa zdania z „Gazety Katolickiej," (prócz cytatu w Przeglądzie prasy), z których to jasno wypływa. I tak w num. 43-im „Gazety" czytamy:

„To co jest zadaniem partyi politycznej, *centrum tak samo jest w stanie wywalczyć dla ludu polskiego, jak Koło polskie, owszem jeszcze lepiej i latwiej, jeżeliby Polacy zamiast tworzyć koło własne, dali się zapisać do centrum.*"

A poniżej pisze ks. dr. Stephan bez ogródek:

„*Najlepiej byłoby dla sprawy polskiej, gdyby posłowie polscy zamiast tworzyć Koło własne się przyłączyli do centrowców i wspólnie z nimi pracowali.*"

Nikt z nas nie wątpi chyba, że byłoby to *najgorzej* dla sprawy polskiej, więc nie będziemy się zatrzymywali przy tem. Stwierdzamy jedynie, że skoro „Orędownik wziął „Gazetę Katolicką" na seryo i począł budować polityczne „zamki w Hiszpanii," ks. dr. Stephan uznał za stósowne urządzić na wielką skalę *propagandę na rzecz centrum.* Sądził on, że Polacy polskość swą schowają w kieszeń i pójdą pod wodzą swych posłów do obozu centrowego. Tak rozumiał ks. dr. Stephan „możność porozumienia" z narodowcami!

W agitacyjnym zapale przybył nawet do Poznania, by tu przemawiać za centrowym związkiem chrześcijańskim dla robotników, a może przy tej sposobności zbliżyć się do swych przyjaciół i zawrzeć sojusz w celu wyzyskiwania ugodowych tendencyi na korzyść centrowców górnoślązkich.

Za dużo było tym centrowcom czułości pomiędzy „Gazetą Katolicką," a „Orędownikiem," bo urzędowy organ centrowców górnoślązkich wylał kubeł zimnej wody na głowy gruchającej pary i zakłócił jej lube sny. „Obersch. Ztg." uważała za stosowne ku zmartwieniu „Gaz. Katolickiej" i „Orędownika" przypomnieć rozmarzonym politykom polskim i swoim co to jest centrum. Więc przemówiła i okazało się, że centrum to sui generis stronnictwo

---

Twoją, o Królu, szmery są harfiane
I widma krążą, o których się śniło
I rzesze stoją jakieś chorągwiane,
Mogilny kamień nie jest martwą bryłą,
Gdyż drży, a nad nim, jak włosy rozwiane
Wskroś, które świecą łez jasnych opale,
Gałęzie szemrzą nieuchwytne żale...

Sam proch jest niczem, a jednak strach bierze
Na myśl, że chcemy zmącić ciszę Twoją
I tknąć się prochów, których przeszłość strzeże,
Krwawą okrywszy Cię twej męki zbroją
Odegnać duchy, których złote pierze
W słońcu Ci szumią i tęsknoty koją
Skrzydły złotemi, głusząc pieśń niedoli,
I nieść do Ojców — kraju — do niewoli...

Daniel Paweł Śliwicki.

hakatystyczne, które nie uznaje nawet praw języka polskiego.

Do centrum — napisała „Oberschl. Ztg.“ — mogą mieć przystęp tylko Niemcy polskiego języka, a nie Polacy i tak zagrodziła drogę tym polskim posłom, którzy w wyobraźni ks. dra Stephana i widocznie także redakcyi „Oberschl. Ztg.“ cisnęli się do centrum. Ale niech się „Oberschl. Ztg.“ uspokoi! Polacy nie myślą wstępować w szeregi centrowe.

Więc jakże to będzie teraz z ową „możnością porozumienia?“ Czy jeszcze będziemy się bawić z „Gazetą Katolicką“ w ciuciubabkę? Czy może każemy rozwiązać się Kołu polskiemu i wstąpić do centrum, aby nastąpiło *„porozumienie?“*

Quis.

Listy z Warszawy.

(Własna korespondencya „Pracy“.)

Ciągle obiecanki bez żadnego pozytywnego rezultatu. Jakie są nadzieje reform i zmian na lepsze, a jakie okoliczności, przeszkadzające tym widokom. Chwiejność rządu. Dwa dni polskie na radzie ministrów w Petersburgu. Powołanie do obrad jen. Maksymowicza. Potrzeba pokoju do spełnienia dzieła reform. Nędza i zastój w tych opłakanych stosunkach. A jednak nie traćmy nadziei.

Dotychczas mamy tylko obiecanki. Rzeczywistych ulg na korzyść narodowości naszej, czegoś pozytywnego, nie mamy nic.

Zaledwie prasa nasza może od czasu do czasu wypowiedzieć słówko o stosunkach, warunkach i potrzebach miejscowych w sposób trochę otwartszy aniżeli to jej było wolno dawniej, przed erą „jutrzenki wolności“ dla całego imperium, której kilka promieni i na kraj nasz ma spłynąć. Dawniej bowiem gazetom naszym nie wolno było swobodnie pisać o tych sprawach właśnie, które są społeczeństwu najbliższe, jako bezpośrednio je obchodzące. Więc skutkiem tego, prasa zmuszona była zajmować się przeważnie sprawami Australii, Ameryki, Macedonii, Portugalii i Niederlandów, oprócz tego zaś, ze spraw miejscowych, prawie wyłącznie — teatrem.

Od czasu przybycia do nas generała Maksymowicza i objęcia przezeń rządów kraju, mianowicie od czasu kiedy nowy jenerał-gubernator rozpatrywać zaczął kwestye wewnętrzne, nietylko z punktu widzenia sfer czynowniczych, ale zasięgał o nich wiadomości także od reprezentantów miejscowego społeczeństwa, znajdują się w łamach pism naszych takie rzeczy, o których nie dawno jeszcze nie śniło im się, aby je poruszać można. Skutkiem tego dowiaduje się czytający ogół o tem, że język polski powinien zostać uwzględniony w różnych instytucyach krajowych, wolno pismom wypowiedzieć zdanie, że używanie języka rosyjskiego w urzędach gminnych jest sprzecznem z interesami gminy, ponieważ chłopi, nie umiejąc po rosyjsku, są oddani na łaskę i niełaskę pisarza gminnego, zwykle łapownika, a przytem będącego narzędziem komisarza włościańskiego i naczelnika powiatu. Skutkiem tego wójt gminy i radni nie wiedzieli zupełnie, co w protokóle z posiedzeń i uchwał zostało zapisane, a co pominięte, lub przedstawione w innem świetle, w myśl „celów wyższych“ przez wszechwładnego pisarza. Dalej dowiaduje się publiczność z własnych pism polskich, że system szkolny, bez języka narodowego jest nonsensem i że tam, gdzie pedagogika opiera się na polityce, uczeń na tem traci podwójnie: raz niczego się nie nauczy, a powtóre ta właśnie politykomania w systemie nauczania nasuwa mu niepotrzebne myśli oddawania się samemu polityce. Zgubny ten i bezmyślny system spowodował nieszczęsny skutek, że w chwili obecnej nie ma prawie wcale szkół w kraju naszym, jak ich niema w całem państwie rosyjskiem. Rzeczą jest niewątpliwą, że manii politykowania i strajkowania ze strony młodzieży pochwalić nie można. Ale do wejścia na tę drogę pchał ją nie kto inny, tylko bezmyślny system szkolny, jakiem zostaliśmy uszczęśliwieni przed 40 laty.

O tem wszystkiem, chociaż jeszcze nie w tonie zupełnej szczerości i bez nazywania rzeczy właściwem mianem, dowiaduje się teraz z pism własnych publiczność, czego również od lat 40 nie doświadczała.

Są to jednak wszystko wolności i swobody względne, połowiczne, niezdecydowane. Częściowa ta swoboda prasy wyszła z inicyatywy nowego naczelnika kraju, generał-gubernatora Maksymowicza, który obejmując to stanowisko, otrzymał szeroką i daleko sięgającą władzę, tak szeroką, jakiej poprzednicy jego nie posiadali. Więc jeśli pozwolił dziś na coś, to jutro może tak samo zmienić zdanie i napowrót skrępować prasę dawnemi więzami cenzuralnemi.

Częściowa wolność drukowanego słowa wtedy jedynie miałaby trwałe i głębsze znaczenie, gdyby za nią poszły swobody faktyczne, w kształcie samorządów, tak ziemskiego jak miejskiego, gdyby chłopa naszego uwolniono od demoralizującego wpływu komisarzy włościańskich, naczelników powiatu i ich posłusznych narzędzi w osobie pisarzy gminnych, gdyby w ucznia naszych zakładów naukowych, tak wyższych jak niższych, nie chciano wpajać poglądów fałszywych, obrażających jego tradycyę i święte uczucia narodowe, gdyby do zarządu krajem powołano ludzi z potrzebami tego kraju obznajmionych i dobro jego na sercu mających, gdyby na miejsce niesumiennych, złych, przekupnych, a nam nienawistnych czynowników, przyszli urzędnicy, rekrutowani z sił miejscowych — jednem słowem, gdyby raz koniec chciano położyć szkodliwemu, tak dla nas jak dla całego państwa, bezmyślnemu systemowi rusyfikacyi, z którego jedna tylko warstwa społeczna ciągnie korzyść, mianowicie kasta czynownicza, będąca u nas w dodatku elementem obcym i napływowym. O tem wszystkiem mówi się od dawna, tak u nas, jak w całem państwie. Pewna część prasy rosyjskiej, utwierdza nas w tych nadziejach. Reprezentanci ziemstw rosyjskich obiecują naszym delegatom poparcie w tym kierunku. Zebranie adwokatów rosyjskich przyrzeka delegacyi naszych adwokatów wspólną pracę w jak najdalej sięgającymi programie. Nareszcie generał-gubernator Maksymowicz zapewnia różne deputacye polskie, że sprawy ich, głównie praw języka polskiego dotyczące, rozpatrzy sumiennie i życzliwie. Ale na tem, przynajmniej dotychczas, kończy się dzieło reform. Pozytywnego i prawnie określonego, nie mamy dotąd nic. Przytem chwiejność rządu, zaskoczonego najpierw klęskami na Wschodzie, a potem rewolucyjną propagandą na wewnątrz państwa, nie daje pewności, aby to dzieło reform dokonanem być mogło przed końcem wojny, a więc przed zawarciem tyle dla wszystkich pożądanego pokoju. Tej chwiejności sfer rządzących najbardziej charakterystycznym dowodem był dzień 22-go marca. W dniu tym rada ministrów, uznawszy wyraźnie i stanowczo cały system naukowy w Królestwie Polskiem jako niewłaściwy i szkodliwy, postanowiła zmianę tego systemu wraz z daleko sięgającemi prawami dla języka polskiego. Tymczasem, skutkiem akcyi przeciwnej, przedsięwziętej natychmiast w łonie czynownictwa, ta sama rada ministrów zmieniła zaraz nazajutrz swe zdanie, przyznawszy w maleńkiej tylko cząstce pewne ustępstwa na rzecz języka polskiego, ale odkładając rzecz na później, do se-

syi ministrów, mającej sprawę tę rozpatrzyć specyalnie.

Termin tej ważnej rady naznaczono na 19-go i 20-go kwietnia, a więc w tych dniach. Powołano też do Petersburga gen. Maksymowicza, aby przy obradach uczestniczył. Znaczenie więc jego będzie w tym razie pierwszorzędnem.

Dopóki postanowienia tej ważnej dla nas narady nie będą wiadome i dopóki nie usłyszymy jasnego i stanowczego orzeczenia co do sposobów wprowadzenia spodziewanych reform — dopóty wszelkie przewidywania w tym kierunku do niczego nie prowadzą.

Jeszcze jedno przytem zważyć należy. Im dotkliwszą będzie klęska oręża rosyjskiego, tem większych będzie się można spodziewać ustępstw, nietylko dla nas, ale w całem państwie. Tej dziwnej polityki trzyma się rząd od początku wojny. Należy przyznać, że nie jest to polityka, którąby w poddanych białego cara wpajać mogła uczucie patryotyzmu i serdeczną chęć zwycięstwa. Przeciwnie: cała partya reform w Rosyi, z dnia na dzień silniejsza, nie tai, że reorganizacyę wewnętrzną, jeźli ona istotnie nastąpi, zawdzięczać będzie Rosya Japończykom.

Tak i dziś. Uwaga rządu zwrócona jest chwilowo w stronę floty admirała Rożdjestwionskiego. Całą jego wyprawę uważać należy za krok rozpaczliwy, nie mający szans stanowczego powodzenia. Ale, ponieważ variabilis belli fortuna, więc sfery rządowe wytężają uwagę w tę stronę, czekając: Co będzie?... robiąc sobie iluzye: a nuż!...

Być łatwo może, że owe dwa „dni polskie" w radzie ministrów przypadną równocześnie z wielką a rozstrzygającą bitwą na morzu. Od wyniku zależeć będzie w znacznej części i to, do jakiego punktu mają pójść spodziewane reformy. Taką jest dziś sytuacya ogólna. Z niej wypływa, że tak rząd rosyjski jak też stronnictwa pragnące reform, uwolnienia od czynownictwa i nareszcie konstytucyi, znajdują się chwilowo pod hasłem: *czekać!...* I my, z konieczności, pod tym samym znajdujemy się sztandarem, któremu na imię: chwiejność i niepewność. Więc jak się tu dziwić, jeśli sympatye nasze nie są i nie mogą być po stronie oręża rosyjskiego, chociaż w walce tej uczestniczy tyle tysięcy naszych braci...

Zanim to wszystko się zdecyduje, odczuwamy przedewszystkiem — biedę materyalną. Zrodziła ją najpierw wojna i w ślad za nią idący zastój wszechstronny, a następnie rozruchy wszelkiego rodzaju, których źródła pierwotnego nie u nas szukać trzeba, które jednak głęboko i straszliwie krajem naszym wstrząsnęły. Dzięki temu, dzięki niepewności jutra, dzięki różnym pogróżkom i zapowiedziom krwawych wypadków, dzięki temu nakoniec czego Warszawa przez dni kilka przymusowym była świadkiem, zastój ten na wszystkich punktach i we wszystkich kierunkach wytwórczych i przedsiębiorczych trwa w całej pełni.

W tem położeniu bieda, zamiast się zmniejszać, zwiększa się nieledwie z dniem każdym. Tysiące ludzi bez zajęcia, setki przedsiębiorstw zrujnowanych, albo w przededniu ruiny, a przytem tysiące matek, żon i dzieci maleńkich osieroconych lub pod groźbą sieroctwa, bo mężowie i ojcowie rodzin walczą tam, na drugim krańcu świata, za sprawę nie swoją, za głupotę polityczną, nie swoją i nie za swój honor wojskowy.

Jesteśmy więc w położeniu ciężkiem i smutnem.

A jednak nie traćmy nadziei. Jeśli Bóg da doczekać zmiany losu, pozwoli zabrać się nam samym i o własnych siłach do dzieła uzdrowienia stosunków w tym kraju, do oświaty na podstawie własnej tradycyi i języka własnego, to kto wie, czy i dla nas lepsze nie nadejdą czasy i czy ta praca, jaka nas czeka, nie obróci się na korzyść dla kraju i dla młodszej braci naszej. Daj to Boże!

Ale biada! gdyby te złudne nadzieje wcale ziścić się nie miały!... Biada, nie tylko dla nas, ale dla całego tego rozkładającego się organizmu państwowego, z którym jesteśmy skuci przymusowo. Wtedy ten wielki kraj o rozkładającym się organizmie, gnijącym, zanim dojrzał — spłynie wielką strugą krwi. Wówczas zaś nastąpić może najgorsze, mianowicie, że z tego skorzysta trzeci, nasz wróg najzaciętszy!...

Leckita.

Korespondencya z Galicyi.

Kraków, w kwietniu 1905.
(Własna korespondencya „Pracy")

Niechże czytelnicy „Pracy" wybaczą, że znów zaprzątnę ich uwagę sprawą *rusko-polską.* Jest to wprawdzie tu dla nas w Galicyi sprawa niezmiernej wagi, jedna z najbardziej piekących, lecz już tylokrotnie i przezemnie i przez tylu innych korespondentów omawiana i wyjaśniona. Jeźli też dziś raz jeszcze rozpisuję się o niej, nie czynię tego dla czytelników „Pracy," o których przypuszczać mogę, że dobrze wiedzą, jak uczciwie Polacy postępują tu względem ruskich swoich pobratymców, lecz dla panów w rządzie pruskim i w szeregach hakaty. Wiemy przecież teraz jak uważnie czytają oni „Pracę," wiemy, że nawet pan minister wojny w Berlinie wie, co „Praca" pisze i na nią się odwołuje. Nie ulega też wątpliwości, że znana ona jest dobrze, także panu *Rheinbabenowi,* który tak niefortunnie wyrwał się niedawno z porównaniem „pruskiego i polskiego ucisku." Jeźli więc ci panowie starają się wyczytać w „Pracy" to, coby mogli przytoczyć na korzyść swoich twierdzeń, niechże dowiedzą się z niej także prawdy o stosunku Polaków do Rusinów. Mam też nadzieję, że jak każe uczciwość — i z tego co dziś przytoczę panowie ci przytoczą coś w swoich mowach. A więc dla nich to — małe dzisiejsze *„promemoria."*

Mamy tu w Galicyi *Bank parcelacyjny,* który podobnie jak wasze instytucye parcelacyjne zajmuje się rozdrabnianiem większych posiadłości na małe gospodarstwa, żywotniejsze i rentowniejsze wobec dzisiejszych trudnych warunków bytu rolnictwa. Bank to prywatny, lecz fakt, że operuje głównie wielkim kredytem z *Banku krajowego dla Galicyi,* nadaje mu charakter instytucyi niejako półurzędowej. Bank ten rozparcelował dotychczas około 40,000 morg waszych między 2500 rodzin. Teraz posłuchać proszę:

Instytucya ta znajduje się w rękach *polskich.* Polacy mają w niej władzę w ręku. Gdyby więc zamierzali uciskać Rusinów, na wzór Niemców w stosunku do was, mieliby w tym banku doskonałe do tego narzędzie, coś w rodzaju pruskiej komisyi kolonizacyjnej. Otóż niedawno odbyło się walne zgromadzenie tego banku. Wobec nienawiści, jaką okazują Rusini względem wszystkiego co polskie, dziwić się nie można, że na tem zgromadzeniu kilku mówców żądało wyjaśnienia, czy Bank ten jako instytucya polska przy parcelacyi uwzględnia przedewszystkiem *Polaków.* Na to dyrektor banku p. Deskur dał odpowiedź, że wyjaśnić tego nie może, *bo nie bada ani metryki, ani narodowości osadników.* Członek banku zaś, poseł *Stapiński* w te przemówił słowa:

„Nie pora dziś na eksperymenty polityczne i na przemianę Banku parcelacyjnego w jakąś instytucyę kolonizacyjną. Przemawia przeciwko temu wzgląd *zasadniczy.* Dotychczasowi kierownicy Banku *nie dali się porwać hasłom narodowościowej nienawiści,* ponieważ przekonali się, że polityka

szczucia wzajemnego sprowadziłaby na kraj nieszczęście. Jak więc dotychczas, tak też i na przyszłość, nie godziło się nam i nie godzi chłopa ruskiego, *który od wieków na tej ziemi siedzi, odsądzać w sposób nieludzki od prawa kupienia piędzi ziemi, którą zraszał swym krwawym potem.* — Przeciwko temu przemawia jeszcze i ten wzgląd, że Bank parcelacyjny stoi w znacznej części kredytem Banku krajowego, który czerpie swe fundusze od opodatkowanej ludności *tak polskiej, jak i ruskiej.* Jakkolwiek radzibyśmy, aby cały świat należał do Polski — to *przecież takiemi drogami pruskich kolonizatorów polska instytucya ludowa nigdy nie pójdzie.*"

A to oświadczenie posła *Stapińskiego* poparł stanowczo dyrektor *Banku krajowego dr. Zgórski.* Zaznaczył on, że nie widzi żadnego nieszczęścia, jeżeli chłop ruski obok polskiego będzie za pośrednictwem Banku rolę swoją uprawiał.

Tak postępują Polacy względem Rusinów. Panie Rheinbaben — „wir Polen sind doch bessere Leute!"

Galicyanin.

Z niwy politycznej.

Nowa wisząca nad nami ustawa antypolska, wymierzona przeciw językowi polskiemu na zebraniach, nie przyjdzie pod obrady sejmu pruskiego w bieżącej sesyi, jak donoszą półurzędowe „Berl. Pol. Nachrichten." Wogóle żadne nowe ustawy nie wejdą w skład prac sejmu tymczasowo. Odroczenie przedłożenia antypolskiego przypisuje wzmiankowany organ śmierci p. Hammersteina i zmianie w ministeryum spraw wewnętrznych. Nowy minister musi wpierw nauczyć się myśleć i mówić według modły hakatystów, zanim przedstawi nowe „dobrodziejstwo" Niemców.

* * *

Jen. gubernator Maksymowicz wyjechał do Petersburga, aby wziąć udział w obradach nad *sprawą polską* w komitecie ministrów. W Warszawie panuje słuszna obawa o wynik tych obrad ponieważ Polacy nie będą mieli w komitecie orędowników. Aby jen. gubernatora usposobić jaknajprzychylniej udała się do niego poważna delegacya polska z udziałem hr. Wł. Tyszkiewicza, Henryka Sienkiewicza, ordynata hr. Adama Krasińskiego i innych i przedłożyła mu potrzeby wymagania i żądania Polaków zgodnie z prawami historycznemi narodu polskiego. Krążą pogłoski, że Maksymowicz życzy sobie ulg dla Królestwa i miał się wyrazić, iż „nie myśli służyć ministrom."

Kilka dni przed jego wyjazdem była u niego *deputacya* 88 *chłopów* z różnych stron kraju zasądzonych na 1 do 3 miesięcy aresztu za dopominanie się o język polski w gminnym urzędzie. Maksymowicz wysłuchał ich skarg i żalów i przyrzekł sprawę rozpatrzeć, jeżli okażą się niewinnymi uwolnić ich od kar, a jeżli są winni odroczyć kary. Nadto polecił im, aby wracali do domu a w razie gdyby władze prześladowały ich za to, że poskarżyli się u niego, donieść mu o tem telegraficznie. Być może, że to zabezpieczy ich przeciwko swywoli władz powiatowych. Włościanie nie byli wcale zadowoleni odpowiedzią jen. gubernatora.

* * *

Zamknięcie uniwersytetu warszawskiego połączone było pierwotnie z relegowaniem wszystkich studentów. Od razu rozporządzenie to wydało się potwornem i niemal niepodobnem do przeprowadzenia. Jakoż po pierwszem rozporządzeniu nastąpiło drugie, i to łagodzące bezwzględność poprzedniego. Podług tego *nie wszyscy* studenci zostają relegowani, lecz głównie członkowie „Bratniej Pomocy," organizatorowie i uczestnicy wiecu w uniwersytecie, którzy zniszczyli portret cara i powzięli daleko idące uchwały. Było ich 450 i tych ma dotknąć kara wykluczenia, chociaż później i tu nastąpi modyfikacya. Tymczasem wszyscy inni mają prawo zapisać się na uniwersytet z rozpoczęciem nowego kursu, naznaczonego już na 14-go października.

* * *

Ks. dr. Stanisław Stephan, redaktor „Gazety Katolickiej, znanego organu centrowego w języku polskim wydawanego w Królewskiej Hucie, przybył dnia 12-go b. m. do *Poznania* na zebranie Związku chrześciańskiego, zdaje się przez siebie zwołane. Nie dosyć, że ks. Stephan wskazuje na G. Ślązku drogę ludowi polskiemu jaką ma kroczyć, jeszcze w Poznaniu zabiera się do pouczania robotników jak sobie mają radzić. Tymczasem dzięki Bogu lud roboczy w Poznaniu ma tu swych doradzców i nie potrzebuje ich sprowadzać sobie aż z G. Ślązka. Wbrew tendencyi ogółu polskiego, który zaleca przystępowanie do Polskiego Związku Zawodowego, ks. dr. Stephan zachęcał do udziału w chrześcijańskim związku, podległym wpływom centrowym.

Za polskim Związkiem przemawiali pp. Jacob i Kuhnert, ale przewodniczący głos im odebrał. O rzekomych brakach tegoż mówili pp. Kośnicki, Kowalczyk, Wunsch, Marcinkowski i inni, poczem p. Kuhnert, raz jeszcze zabierając głos wzywał do popierania polskiego związku. W końcu raz jeszcze przemawiał ks. dr. Stephan, zaręczał, iż nie jest i nie będzie germanizatorem, wyłuszczał swe zasługi dla sprawy ludu polskiego i przypomniał, iż pochodzi z ojca i matki Polaków. Nie nazwał się jednak Polakiem i słusznie, bo za takiego go nie mamy. Zresztą kto posłów centrowych uważa za „naszych posłów" widocznie należy do innej gromady.

* * *

Młodzież akademicka, a mianowicie stypendyaci Tow. Pom. Naukowej gorėją nieugaszonym zapałem w kierunku naprawiania obyczajów kolegów, chociaż nikt zresztą nie uskarża się na te obyczaje. Tow. Pom. Naukowej na znaną propozycyę młodzieży dało inicyatorom odpowiedź jasną, z której wynika, że projekt młodzieży uważa za niewykonalny, że „młodzież pobierająca stypendya czasu na rzeczy niedozwolone nie marnuje," że wreszcie Tow. samo zajmuje się kwestyą kontroli nad młodzieżą, poczytując modzież za całkiem do tego niepowołaną. Na tem samem stanowisku stoi cały ogół, który niedwuznacznie powiedział inicyatorom co o tem sądzi. Ale mimo wszystko zacietrzewieni młodzi ludzie zabierają się „na własną rękę" do tworzenia niekoleżeńskich sądów nad kolegami. W zaślepieniu swem wyczytali oni w liście Tow. Pomocy Naukowej pochwałę dla projektu, chociaż doprawdy żaden przed forum wysunięty projekt nie doznał tak ogólnego i wszechstronnego potępienia.

Nie ma rady. Jak człowiek uporczywy i zaślepiony poweźmie raz projekt zrobienia głupstwa, nic od tego go nie odwiedzie. Jednakże stwierdzamy, że ogół nie uważa, jakoby młodzież miała „szczytny obowiązek" kontrolowania kolegów. Ogół odmówił młodzieży do tego prawa. Rozpoczynając przeto swą niekoleżeńską akcyą — która musi jak najgorsze wydać owoce — inicyatorowie działają nie tylko bez aprobaty ogółu, ale wprost wbrew opinii.

Wojna.

Tydzień minął, a oczekiwana walna bitwa morska dotychczas stoczona nie została. I łatwo być może, że mi-

nie także tydzień bieżący bez huku dział na morzu.

Sytuacya na morskim terenie wojny jest w chwili, gdy to piszemy otoczona tak ścisłą tajemnicą, iż nie wiadomo nawet gdzie się w tej chwili znajdują obustronne floty? O flocie japońskiej słychać, że ma przebywać w pobliżu wyspy *Formozy,* wśród archipelagu wysp *Pescadorów* czyli *Rybackich,* położonych w cieśninie *Fukien,* dzielącej Formozę od stałego lądu chińskiego. Wyspy te nadają się rzeczywiście doskonale na podstawę operacyjną przeciwko flocie Rozdiestwieńskiego, która jeżli pragnie najkrótszą drogą dostać się do Władywostoku musi przepłynąć przez tę cieśninę. Ma ona przy długości 30 mil tylko 20 mil szerokości, tak że wyspy Pescadory, położone mniej więcej w środku jej południowego wylotu, w znaczeniu strategicznem zupełnie nad nią panują. Posiadają one kilka głębokich i obszernych zatok, w których flota japońska dobrze się ukryć może, azeby zagrodzić nagle i niespodziewanie drogę okrętom rosyjskim. Fakt, że w głównym porcie tych wysp — w *Moko* — ogłoszono stan wojenny, zdaje się przemawiać za tem, że Japończycy obrali go rzeczywiście za podstawę do swej akcyi wojennej na morzu. Jednakże wcale nie jest wykluczonem, iż znajduje się tu tylko część okrętów japońskich, że główne siły admirała Togo czekają na Rosyan w miejscu, gdzie nikt ich się nie spodziewa.

O flocie *rosyjskiej* wiadomo tylko tyle, iż wydostawszy się na południowe morze chińskie przez cieśniny *Malakka i Sundajską* połączyła się pod archipelagiem *Anambas* na północ od Singapore i że ztamtąd odpłynęła dnia 9-go b. m. w kierunku północnym. Później płynące tam okręty wojenne i handlowe widziały ją w oddaleniu mniej więcej 50 mil na wschód od miasta *Sajgon,* stolicy kolonii francuzkiej *Kochirching...* Ogólnie przypuszczano, że płynie ona rzeczywiście ku cieśninie Fukien i że tam dnia 14-go lub 15-go przyjdzie napewno do bitwy. Tymczasem dni te minęły, a flota rosyjska nie pojawiła się w tem miejscu. Dnia 17-go nadeszła wiadomość, że zboczywszy nagle z drogi ku zachodowi okręty rosyjskie zawinęły do zatoki *Kamrah* na wschodniem wybrzeżu francuzkiego *Anamu* i że tam, korzystając z gościnności Francuzów, zaopatrują się najspokojniej w żywność i węgiel. Na wieść o tem powstało w Tokio wielkie oburzenie. Tego rodzaju pobyt w zatoce kolonii francuzkiej byłby rzeczywiście ciężkiem naruszeniem neutralności, do której Francya zobowiązała się porówno z innemi mocarstwami. Zaraz też wysłał podobno rząd japoński płomienny protest do Paryża. Zanim atoli protest ten doszedł rąk rządu francuzkiego pojawiły się nowe wieści, iż w zatoce *Kamrah* przebywało zaledwie kilka okrętów rosyjskich, które już odpłynęły. O miejscu pobytu reszty floty rosyjskiej — nikt w tej chwili nic zgoła nie wie.

Być może, że admirał *Rozdiestwińsk*i zamiast płynąć przez cieśninę Fukien, zboczy ku *wschodowi,* przez cieśninę *Baski,* dzielącą Formozę od wysp *Filipińskich* wjedzie na *Ocean Spokojny* i będzie się starał dotrzeć do Władywostoku od wschodu, okrążając całą Japonię. Lecz i to jest tylko przypuszczenie, któremu każdej chwili inne wieści kłam zadać mogą.

Z konieczności więc trzeba się uzbroić w cierpliwość i czekać.

Na *lądowym* terenie walki sytuacya się nie zmieniła. Tam święta zapewne miną spokojnie.

Lector.

Tydzień polityczny.

Święto Zmartwychwstania Pańskiego nie przynosi w tym roku ludzkości chociaż krótkiej chwili spokoju i wytchnienia. Gdzie spojrzeć, wszędzie walka, srogie zapasy rozpasanych namiętności ludzkich...

Wśród szczególnie smutnych okoliczności obchodzić będzie w tym roku święta Wielkanocne naród *rosyjski.* Walka, jaką toczy o wolność, przybiera charakter coraz bardziej rozpaczliwy, coraz bardziej ponury. Akcya reform rządu carskiego bierze obrót taki, że nawet najwięksi optymiści tracą już wiarę w jej szczerość. Nadzieja, że wyda ona dobre dla narodu owoce, znika zupełnie a w miarę, jak znika mnożą się i potęgują wybuchy ogólnego wzburzenia. Każdy dzień niemal przynosi nam wieści o odkrytych spiskach lub zamachach, wykonanych na czynowników carskich. W Petersburgu zanosi się podobno znów na groźne rozruchy, a fakt, że do ruchu rewolucyjnego należały nawet dwie bratanki „dyktatora“ petersburskiego, świadczy wymownie, że płomień „buntu“ ogarnia już nawet rodziny najwyższej biurokracyi, najwierniejszych obrońców absolutyzmu. Gorzka odmowa, z jaką ze strony cara spotkał się projekt reorganizacyi cerkwi prawosławnej, rozszerzy zapewne płomień ten także w sferach duchowieństwa cerkiewnego. Odpowiedź carska, że nie pora obecnie na przeprowadzenie takiej reorganizacyi, naprawdę źle wróży także o zapowiedzianych reformach w ustroju państwowym. Tymczasem o reformy te naród upomina się coraz głośniej. Zwołany do Petersburga zjazd adwokatów rosyjskich, który również miał obradować nad postulatami reform, został przez policyą rozpędzony. A jakiż był skutek tego? Oto delegaci adwokatów, nie mogąc otwarcie wypowiedzieć swojego zdania, odbyli zebranie tajne i na tem zebraniu powzięli wręcz *rewolucyjne* uchwały. Równocześnie z powodu wojny i ogólnego zastoju wzmaga się nędza szerokich warstw ludności — a na domiar złego grozi Rosyi, ogołoconej z lekarzy, których znaczną część wysłano na pole walki, epidemia cholery. Wszystko to składa się na obraz wręcz straszny a na tle tego obrazu pojawia się coraz widoczniej widmo *olbrzymiego, żywiołowego wybuchu...* Car jednem słowem mógłby jeszcze zażegnać to widmo — lecz on słowa tego jeszcze wypowiedzieć nie chce.

Spór między *Francyą a Niemcami* o sułtanat *marokański* nie wyszedł jeszcze po za ramy polemiki obustronnej prasy. Obawa, że zamieni się on na zatarg groźniejszy nie spełniła się dotychczas. Przeciwnie, słychać, że sprawa załatwiona zostanie na drodze wzajemnych układów lub ustępstw. Lecz chociaż taki weźmie obrót, rozdrażnienie obustronne, wywołane wystąpieniem Niemiec, nie tak rychło się rozwieje i długo pewnie jeszcze odbijać się będzie na wzajemnych tych państw stosunkach.

Włochom na same święta grozi nowa wielka społeczna i ekonomiczna katastrofa w postaci ponownego strejku urzędników i robotników kolejowych. Spodziewali się oni, że nowy prezes gabinetu usunie z projektu ustawy o upaństwowieniu kolei żelaznych owe przepisy, które takie wśród nich wywołały wzburzenie, a przed miesiącem mniej więcej dały powód do oryginalnej obstrukcyi kolejarzy. Gdy więc nadzieja ta zawiodła, chwycili się oni ostatecznego środka walki i proklamowali *strejk ogólny.* W chwili gdy to piszemy na wielu liniach kolejowych włoskich ruch pociągów ustał już niemal zupełnie. Jaka to klęska dla nowoczesnych społeczeństw w których życiu koleje tak ważną odgrywają rolę, łatwo wyobrazić sobie można. To też opinia publiczna jest stanowczo przeciw strejkowi, rząd zaś zamierza stłumić go siłą i już do służby kolejowej odkomenderował *wojsko.* Wobec

tego wątpić można, czy strejkujący cośkolwiek chociaż wywalczyć zdołają, prawdopodobnie zaś walka ta skończy się krwawemi starciami i *krwi rozlewem.*

Płynie ona już bardzo obficie na *półwyspie bałkańskim,* gdzie ruch rewolucyjny w *Macedonii* i przyległych wilajetach tureckich wzmaga się z dnia na dzień. Że zapowiadają się tam ważne wypadki i zmiany — wnosić można z podróży, jakie obecnie książę bułgarski *Ferdynand* odbywa po dworach europejskich. Był już w *Berlinie, w Londynie i w Paryżu,* a w ostatnich dniach bawił w *Rzymie.* Tam skarżył się podobno, że jeżli rządy mocarstw rychło już nie podejmą szerszej akcyi na rzecz zaspokojenia słusznych żądań narodów chrześciańskich pod panowaniem tureckiem, on nie zdoła dłużej powstrzymać swego narodu od czynnego ujęcia się za Bułgarami macedońskimi, a tem samem utrzymać pokoju. Słychać także, że prosił on rządy i dwory mocarstw, ażeby nareszcie spełniły gorące życzenie tak jego jak i narodu bułgarskiego i wyniosły Bułgaryę do rzędu *niezależnych królestw.* To zdaniem jego, mogłoby jeszcze zapobiedz groźniejszym dla całej Europy zawikłaniom na Bałkanie. Na to atoli odpowiedziano mu podobno, że nikt zaręczyć nie zdoła, czy naród bułgarski, osiągnąwszy spełnienie tego swego pragnienia, nie zapragnie także rozszerzenia swoich *granic,* wcielenia do nich bułgarskiej Macedonii? I ze względu na to dano rzekomo księciu odpowiedź odmowną. Co z tego wyniknie, trudno jeszcze przewidzieć. Łatwo atoli być może, że ta małoduszność rządów europejskich które jeszcze nie nauczyły się traktować narodów, jako organizmy *żywe,* nie dające się wtłoczyć w sztuczne ramy politycznych *nienaturalnych* granic, wywoła burzę, która wstrząśnie potężnie spokojem Europy.

Francuzka Izba deputowanych przyjęła w zasadzie projekt rozdziału państwa i Kościoła. W ostatniej jednakże chwili wielu z zwolenników tego rozdziału ogarnął lęk przed jego następstwami. Ku ogromnemu oburzeniu kół radykalnych przyjęto więc równocześnie rozmaite wnioski o ograniczenie rozdziału, które częściowo przynajmniej odbierają ostrze nowej ustawie. Wobec tego znów powstała kwestya, czy zerwanie konkordatu z Rzymem wogóle przyjdzie do skutku?

W *Hiszpanii* z powodu nędzy wśród ludności wybuchły znów krwawe zamieszki strejkowe.

W *Niemczech* a raczej w *Prusach junkrowie agrarni i przemysłowi* — którzy jak wiadomo są i naszymi najzaciętszymi wrogami, nowy znów dali dowód, iż nie mają ani zrozumienia ani odczucia dla szerokiej *rzeszy ludu,* z którego pracy żyją. Wniesiona przez rząd *nowela do ustawy górniczej,* która miała spełnić główne żądania, stawiane przez górników podczas ostatniego wielkiego *strejku, zupełnie spaczona została w komisyi sejmowej* przez reprezentantów stronnictw konserwatywnego i narodowo liberalnego. Ze wszystkich proponowanych przez rząd reform pozostało tylko — zniesienie t. zw. „nulowania“ wózków, *resztę odrzucono.* Jest to dla górników, którzy właśnie wobec zapowiedzi tej ustawy odstąpili od dalszego strejku, przykrym zawodem i ciosem. Ubolewamy bardzo nad tem, z drugiej atoli strony dobrze się może stało, że szerokie warstwy ludu robotniczego w Niemczech przekonały się dowodnie o *usposobieniu kół,* z których i *nasi* rekrutują się *wrogowie.* Co do nas, to z góry przewidywaliśmy, że ci panowie nie zdobędą się na uznanie sprawiedliwości nawet dla — *swoich. . .* *M. O.*

Przegląd prasy.

„Gazeta Katolicka“ ks. dra Stephana i „Oberschl. Ztg.,“ urzędowy organ ślązkich centrowców, zdradziły swe zapatrywania na stanowisko swe do Polaków. *„Głos Ślązki“* tak charakteryzuje ich wywody:

„Jeden organ centrowy i to „Gazeta Katolicka“ radzi, żeby Koło Polskie się rozwiązało i zlało z partyą centrową. Druga gazeta centrowa i to urzędowy organ śląskiej partyi centrowej, nie miałby nic przeciwko temu, gdyby ludność polska pod komendą centrowców ciągnęła pod pomniki Bismarkowe i oddawała pokłon temu bożyszczu germańskiemu z jednej, a najzaciętszemu wrogowi naszego Kościoła i narodu z drugiej strony. Gdybyśmy mieli pójść za radą „Gazety Katolickiej“ i za radą urzędowego organu śląskiej partyi centrowej, to niedługo trwałoby, a pod komendą centrową Koło Polskie z ludnością polską stawałoby przed pomnikami Bismarcka i wołało „Hoch Bismarck!“ Może wtedy znaleźlibyśmy łaskę u urzędowego organu śląskiej partyi centrowej, ale nawet uczciwsi i sprawiedliwsi Niemcy musieli by nami pogardzić.

„Że urzędowy organ śląskiej partyi centrowej dąży do tego, wynika to także i z następnego ustępu tego samego artykułu, w którym pisze, że ludowi polskiemu nie chce odbierać języka ojczystego, ale nie ma powodu o to się obawiać, bo na język polski nikt nie nastaje i nikt na niego nie godzi, ale do szkół i urzędów nie można go wpuszczać, bo wtedy rozgorzałyby jeszcze więcej namiętności narodowe.

„Polacy nie mówiliby wtedy w szkole po niemiecku, Niemcy posługiwać by się musieli językiem polskim i całe cesarstwo niemieckie zostałoby powoli spolszczone.

„Tak stoi dosłownie w urzędowym organie śląskiej partyi centrowej.“

Wobec germanizatorskiego występu „Oberschl Ztg.“ pisze *„Katolik:“*

„Każde jej zdanie mogłoby stać w gazetach hakatystycznych. Każdy minister mógłby je wypowiedzieć. Albowiem centrowa ta gazeta jest przeciwna nauce polskiej w szkole i urzędzie; uważa ją za nieszczęście i niebezpieczeństwo dla niemczyzny. Podług niej rodzice polscy mają uczyć dzieci swoje po niemiecku, aby w szkole rozumiały naukę. Lecz rodzice są „radykałami“, którzy tego czynić nie chcą i dla tego sami sobie winni.

„Dotąd jeszcze żadna z gazet centrowych z taką bezwzględnością nie wystąpiła przeciwko ludowi polskiemu. Artykuły tej gazety, wydawanej przez liczne grono wybitnych centrowców, rozwiały wszelkie złudzenia co do takich centrowców. *Różnica między nimi a nami w sprawie polskiej są istotnie większe, aniżeliśmy przypuszczali.*

„Skoro centrowcy zaprzeczają nam nawet prawa do nauki polskiej w szkole, *porozumienia między nami być nie może.“*

„Oberschl. Ztg.“ pyta się, czy „Katolik“ będzie popierał centrum przy wyborach w Katowicko Zabrskiem. Na to odpowiada *„Katolik“* z uznania godną szczerością i stanowczością:

„Kto jest wyznawcą takich przekonań, jakie wyłuszczono w artykule „Oberschlesische Ztg.“, **ten** tyle dla nas wart, co hakatysta. **Popierać takich ludzi — byłoby kręceniem bicza na własną skórę.** ***Obowiązkiem naszym jest zwalczać takich centrowców, to też w miarę sił naszych będziemy robili.“***

Brawo!

Urzędowy organ partyi centrowej na Ślązku wypisując różne herezye o sprawie polskiej nie ma słów potępienia dla po polsku myślących Polaków, a głaska lud górnoślązki. Ale jaki lud? Na to odpowiada *„Głos Ślązki:“*

„Podszczuwacze ludu“ są u naszych centrowców śląskich na porządku dziennym, ile razy chodzi o obronę praw narodowych ludu i o jego charakter polski. Teraz nawet sięgnęli do „piratów“ tj. zbójów, i lud polski jest u nich też tak długo dobrym i, jak pisze dosłownie centrowa gazeta, „krzepkim, zdrowym kamieniem w wspaniałej budowie naszego ukochanego cesarstwa niemieckiego“, jak długo jest „Niemcem, po polsku mówiącym“, jak długo czuje i myśli po niemiecku. Ale gdy ten sam lud zaczyna myśleć, czuć i kochać po polsku, gdy zaczyna bronić swej mowy ojczystej i narodo-

wości polskiej, wtedy u centrowców śląskich jest „piratą", czyli zbójem, zabierającym w drodze rozboju komuś cudzą własność.

„My Polacy spamiętać sobie winniśmy, że nazwani zostaliśmy „zbójcami" nie przez Hakatystów, ale przez urzędowy organ śląskiej partyi centrowej. Spamiętamy to sobie i wyciągniemy z tego odpowiednie wnioski. Zważyć dalej należy, że tak poczęstowani zostaliśmy nie czasem podczas gorących walk wyborczych, ale w czasie spokojnym, w którym nikt z nas Polaków centrowcom najmniejszego nie dał powodu. Jak oni dopiero nas będą częstowali i jak traktowali, gdy przyjdą wybory! I potem głoszą jeszcze, że centrowców oczerniamy i krzywdę im wyrządzamy, a „Gazeta Katolicka" w długich artykułach o tem się rozpisuje."

Ks. dr. Stephanowi szczere wywody *„Oberschl. Ztg."* są bardzo niemiłe. Potępia je przeto w *„Gaz. Kat."* i próbuje je osłabić.

W artykulach swych: Czy trzeba zerwać z centrum, aby bronić praw ludu polskiego? któremi zajmujemy się na innem miejscu, ks. dr. Stephan wywodzi, że w łonie centrum można bronić ludu polskiego daleko lepiej niż w Kole polskiem. W końcu przychodzi do tego zdania:

„A więc aby przyjść do końca, treścią naszych rozpraw jest to: Partya polityczna musi w polityce mieć szczęście i dobro całości na oku, a jeżeli żąda od „Katolika", żeby się do niej zapisał, musi politykę prowadzić według sprawiedliwości, u nas według prawa przyrodzonego i konstytucyi. Taką partyą jest centrum. Trzymając się sprawiedliwości centrum i w sprawach polskich potrafi uczynić wszystko, czego potrzeba dla obrony ludu polskiego, dla tego nie potrzeba osobnej i szczególnej partyi, owszem byłoby lepiej dla ludu polskiego, żeby się wszyscy uznający powyższy program połączyli w jedną wielką partyę. A chociaż i w tej partyi są ludzie, do których lud polski nie może mieć zupełnego zaufania, w takim razie można i trzeba się starać o reformę w partyi centrowej, ale obrona praw ludu polskiego nie pociąga za sobą odstąpienia od centrum, lecz przeciwnie wymaga *jak najściślejszego połączenia się z centrum.*"

A zatem Koło polskie ma wcielić się w stronnictwo centrowe! Bo — jak pisze ks. Stephan — trzeba oświecać Niemców, co znaczy sprawiedliwość wobec innego narodu, trzeba *pomiędzy sobą (!)* rozumnie i spokojnie pracować, pielęgnować oświatę, trzymać się środków lojalnych, aby zapobiedz wszystkim zarzutom nie lojalności."

O poznańskiem zebraniu na rzecz centrowego związku chrześciańskiego, na którem przemawiał ks. dr. Stephan pisze *„Goniec Wielk.:"*

„Wyrażam nadzieję, że pomimo protekcyi pism pewnych poznańskich, na którą się powoływał, w Poznaniu ks. dr. Stephan zwolenników sobie nie zdobędzie, jak to już okazało zebranie, na którem przeważna część obecnych z wielką rezerwą przyjmowała nauki referenta.

„A teraz jeszcze kilka słów co do przebiegu zebrania. Zebranie było burzliwe, a winy szukać należy w tem, iż przewodnictwo oddano w ręce człowieka, który spokojem i rozwagą wcale a wcale nie rozporządza. Zalecaćby dalej można, ażeby Polski Związek Zawodowy energicznie przystąpił do pracy, bo setki naszych braci należy do organizacyi, które korzyści nam nie przynoszą. P. Z. Z. ma piękne pole do pracy, która oby jak najliczniejsze zastępy za sobą pociągnęła."

„Orędownik" walecznie broniący ks. dr. Stephana na każdym kroku, tłomaczy że ks. dr. St. przybył tu uproszony z wykładem i — dodaje dając dużo do myślenia — że „żadnych innych celów jego podróż do Poznania nie miała."

Emisaryusze niemieccy grasują w Królestwie, bo łowienie ryb w mętnej wodzie jest powołaniem Niemców. Petersburska *„Ruś"* zamieszcza list pewnego obywatela z Król. Polskiego, z gub. warszawskiej:

„Zjawiają się u nas po wsiach — pisze autor listu — emisaryusze niemieccy, którzy wszelkiemi sposobami usiłują niepokoić i buntować lud włościański. Namawiają włościan, by nie płacili podatków, nie dawali składek na zapomogi dla wdów i sierót po poległych w wojnie japońskiej i sprzeciwili się siłą wysyłaniu rezerwistów na teatr wojny. Oprócz tego emisaryusze namawiają chłopów, by wypędzili właścicieli majątków i dobytkiem ich się podzielili, a zabudowania popalili, gdyż ziemia ma być rozdana chłopom. Takie ma być „nowe prawo japońskie." Przekonałem się, że są to emisaryusze niemieccy, gdy raz miałem do czynienia z takim „Japończykiem." Jak się pokazało, był to znany mi już poprzednio kolonista niemiecki. Może list mój otworzy oczy, komu należy, na te przysługi, jakie oddają nam „przyjaciele Niemcy.""

Redakcya.

Głosy od Przyjaciół.

Hamborn nad Renem, 17. 4. 05.

(W sprawie Zjednoczenia Zawodowego).

Ponieważ „Praca" w nr. 16-m zajmuje się w dłuższym artykule sprawą „Zjednoczenia zawodowego polskiego" chciałbym z swej strony dorzucić słów kilka dla wyjaśnienia. Nasza organizacyą nie przechodzi, lecz już przeszła rzekomy kryzys i teraz rozwija się znowu pomyślnie. Słusznie pisze „Praca", iż powodem tego przesilenia były sprawy osobiste. Aby rzecz nazwać po imieniu, można powiedzieć: p. Brzeskot chciał zostać absolutnym komendantem „Zjednoczenia" i koło tej osi obraca się cała sprawa. Gdy p. Brzeskot został wybrany przewodniczącym rady nadzorczej nie był wtenczas jeszcze kierownikiem biura; skoro nim został musiał złożyć urząd przewodniczącego, gdyż jeden i ten sam człowiek nie może być pracującym i kontrolerem. A rada nadzorcza kontroluje czynności zarządu i biura. Pan Brzeskot porzucił pracę w najkrytyczniejszym czasie dla organizacyi i złamał kontrakt,za co go chyba nikt nie pochwali, jak nas górników nie pochwalono za złamanie kontraktu. Rada nadzorcza, zarząd, delegaci i mężowie zaufania postąpili bardzo dobrze, że wybrali komisyę śledczą. Rada nadzorcza ma prawo badania i sądzenia spraw „Zjednoczenia", gdyż właśnie na to jest wybrana. Nie wyrządziła ona p. Brzeskotowi żadnej krzywdy. Przez ogłoszenie swej broszury p. B. sam wydał wyrok na siebie. Słusznie pisze „Praca", iż p. B. pozostała droga odniesienia się do walnego zebrania „Zjednoczenia", atoli p. B. chciał widocznie rzecz sprowadzić na inną drogę i dlatego wydał ową broszurę. W sprostowaniu swem zarząd nie pisze, jakoby całą pracę w organizacyi powierzono p. B., lecz tylko kierownictwo biura, za które był odpowiedzialny. Najwięcej błędów popełniono w biurze i dlatego zarzuty p. B. zwracają się przeciw niemu samemu. Sprostowanie rady nadzorczej i zarządu głosi, iż jeden człowiek nie może kierować „Zjednoczeniem" jak tego chciał p. B., a że do tego dążył, dowodzi to, iż stawił wniosek, aby radę nadzorczą usunąć.

Faktem jest, że w „Zjednoczeniu" zachodziły nieporządki i słusznie twierdzi „Praca", iż należy to przypisać młodości naszej organizacyi. — Twierdzenie korespondenta z Bottropu w „Dzienniku polskim" jakoby do zarządu i rady nadzorczej wybierani byli tylko Wiarusowcy, jest nieprawdziwem. Nie jestem ani Wiarusowcem ani Dziennikowcem, lecz jestem Polakiem górnikiem i jako taki staram się aby organizacyą naszą w prawdziwem przedstawić świetle.

Józef Wierzchowski,
mąż zaufania „Zjednoczenia".

Dział rolniczo-ekonomiczny.

Zaprawianie nasienia przeciw śnieci i główni.

Najmniejszy dzieciak pozna kominiarza, najmniej oświecony rolnik pozna śnieć i głównię zbożową, choć niejednokrotnie nazwy ich pomiesza.

Kominiarz uczciwą swą, aczkolwiek niemiłą pracą, chroni gospodarza od strasznej klęski pożaru, usuwając z ciągów i kominów zapalną sadzę. Kilku groszami wynagradza się jego pracę, tak dobroczynną w swych skutkach. Tak samo nieznacznym kosztem okupić się można od szkód, przez śnieć i główniç wyrządzanych. Lecz tak samo jak niedopuszcza się niejednokrotnie kominiarza pod byle jakim pozorem do jego pożytecznej roboty, aby kilku groszy nie wydać, tak samo o zakupieniu lekarstwa na choroby naszych zbóż albo nikt nie myśli wcale, albo tych kilku groszy żałuje.

Niejedna też chata poszła z dymem przez zajęcie się sadzy w kominie, niejeden plon zboża zmarniał w znacznej części przez nieopatrzność rolnika.

A zaradzić temu tak łatwo i tak tanim kosztem można, że tylko wyraźnemu lenistwu, połączonemu z nieświadomością szkód, przez śnieć i głównię zbożową wyrządzanych, przypisać można małe rozpowszechnienie się zaprawiania, czyli bejcowania ziarna do siewu.

Śnieć pszeniczna kryje się chytrze w łupinie ziarna pszenicznego, widoczną jest tylko przy bliższem badaniu kłosów, zwykle dopiero przy zwózce, a głównie przy omłocie zdradza swą obecność przed mniej uważnym rolnikiem. Głównia czy to pszeniczna, czy jęczmienna lub owsiana, wprawdzie już podczas wzrostu przed oczy rolnika się nasuwa, ale wtedy spełniła już szkodliwą swą robotę, zastępując zdrowe ziarno lśniącą proszkowatą masą, którą wiatry chętnie roznoszą, zostawiając najczęściej goły szkielet kłosa. Na pszenicę rzadko głównia napada, lecz na jęczmień i owies równie często, jak śnieć na pszenicę.

Rozsiewanie się grzybków tak jednej, jak drugiej choroby roślin jest bardzo do siebie zbliżone, a udowodnione zostało, że zarażenie się roślin temi chorobami powstaje głównie przez zarodniki grzybków przyczepione do ziarna użytego na nasienie. Usunięcie tych zarodników jest konieczne, a że tego wykonać nie można, trzeba je zniszczyć, zabić, co można zrobić różnymi sposobami, z których najlepszym, zupełnie pewnie zabijającym zarodniki, a nie uszkadzającym siły kiełkowania ziarna jest tak zwane zaprawianie ziarna, czyli bejcowanie.

Z pomiędzy wielu zapraw najlepsza i najtańsza jest zaprawa Kühnowska.

Przyrządzenie jej bardzo łatwe i proste, a celem jeszcze większego ułatwienia, uwzględniając, że u małego rolnika nie ma wielkich sądków (beczek albo kadzi), aby w nich można większe masy ziarna zaprawiać, podajemy tu ilości, dostósowane do potrzeb i warunków małego rolnika.

W glinianym lub kamiennym garnku rozpuszcza się w gorącej wodzie ćwierć kilograma, niebiesko-sinego kamienia (siarczanu miedzi, a nie koperwasu żelaznego), który przedtem trzeba dobrze sproszkować. Gdy się siny kamień zupełnie rozpuści, wlewa się ten roczyn pod miarą do beczki lub kadki, dolewając zimnej wody, aby jej razem było litrów pięćdziesiąt. W ten sposób uzyskamy półprocentowy roztwór. Do tego płynu wsypujemy 125 do 150 litrów, tj. korzec do 5 ćwierci ziarna, przeznaczonego do zabejcowania, z tą jednak uwagą, aby płyn zaprawiony sinym kamieniem stał ponad ziarnem przynajmniej na 10 cm. wysoko.

W płynie tym ziarno ma pozostać 12 do 15 godzin, a jeżeli jest bardzo zarażone nawet 18 godzin. W tym czasie kilkakrotnie trzeba dobrze wymieszać ziarno aż do samego dna, aby ułatwić wydzielenie się powietrza z pomiędzy ziarn zboża i tego, które do ziarn przylgnęło, a także, aby umożliwić spłynięcie chorych, niewykształconych ziarn i zarodników grzybków. To, co spłynie, starannie trzeba zebrać jak śmietankę z mleka, lecz nie wyrzucać na gnój ani przed świnie lub przed drób, lecz spalić.

Po upływie czasu przeznaczonego na kąpiel, wypuszcza się płyn dziurą, w dnie zrobioną. Po ocieknięciu ziarna dobrze jest (choć to nie jest konieczne, ale bardzo dobre), urządzić mu jeszcze drugą króciutką, bo tylko 5 minut trwającą kąpiel w mleku — ale wapiennem. Mleko to łatwo przyrządzić, rozpuszczając w 55 litrach wody 3 kg. wapna palonego. Tym roztworem zalewa się ziarno, dobrze miesza, a po 5 minutach, roztwór dnem wypuszcza, a jak tylko ziarno z grubszego ocieknie, wyrzuca się je na tok (klepisko), cienko rozpościera, często grabiami przerabia i przesuwa coraz na świeży tok, aby prędzej obeschło. Skoro tylko obeschnie i do wysiewu jest zdatne, zaraz wysiać je trzeba i przykryć. Bejcowane ziarno prędzej się kulczy; jeżeli jednak nie jest przykryte ziemią, niszczeje.

Opisane powyżej moczenie zastępują gdzie niegdzie spryskiwaniem nasienia na toku i bardzo dokładnem przerabianiem go. Chociaż do tego używają zwykle silniejszego roztworu sinego kamienia nawet 2%-wego, to jednak taka robota, chociaż wygodna, nie jest bezpieczna i nie może iść w porównanie z moczeniem.

Aby być zupełnie pewnym, że ziarno bejcowane dowiezie się w pole czyste i niezarażone, trzeba oprócz ziarna w takimże roztworze namoczyć worek, do którego się je po wysuszeniu zesypie, to samo zrobić ze siewnią, gdzie jej używają. Jeżeli zboże ma być siane siewnikiem, to powinien on być także oczyszczony bardzo dokładnie. Wtedy można być pewnym, że wszystkie zarodniki grzybków z nasienia usunęliśmy i że zdrowe, czyste ziarno powierzyliśmy świętej matce ziemi.

Kilka groszy, trochę trudu, a więcej dobrej woli i rolnik uwolni się od takiej plagi, jaką jest śnieć i głównia.

T. J. P.

Bank ludowy w Bydgoszczy.

założony przed dwoma laty nadesłał nam sprawozdanie za rok 1904, z którego podajemy następujący bilans:

Aktywa.		Pasywa.
— —	1. Udziały	12686,80
249,25	2. Koszta proc. ezł.	— —
116160,68	3. Weksle	— —
— —	4. Depozyta	123126,89
— —	5. Fundusz rezer.	1322,09
— —	6. Rezerwa spec.	33,24
20448,22	7. Banki	— —
1353,51	8. Gotówka	— —
— —	9. Do dyspozycyi Waln. Zebrania	1042,64
138211,66		138211,66

Członków liczy Bank 156 i to: 31 rolników, 56 przemysłowców i rzemieślników oraz 69 oddanych innym zawodom.

Organami Spółki są: „Dziennik Kujawski“ i „Robotnik“. Adresować należy: Bank Ludowy — Volksbank E. G. m. u. H.

DZIAŁ KOBIECY.

Zaniedbani.

Aby zrozumieć jaki udział przypada kobietom w oświacie ludowej, powinnyśmy najprzód zdać sobie sprawę z wielkiego dobrodziejstwa, które odebrałyśmy od Boga, przychodząc na świat pod takim dachem, gdzie światło wiary i nauki, zdaje się samo z siebie, jakby światło dzienne, na nas spłynęło. Czy która z nas bowiem pamięta, kiedy i jak dowiedziała się po raz pierwszy o Bogu, o cudach przyrody, o duszy, o nieśmiertelności? Czy zdaje sobie sprawę, kiedy się nauczyła czytać? Czy odnajdzie, choćby w najbardziej zamglonych wspomnieniach swego dzieciństwa, czas, kiedy „książka była dla niej czemś martwem, a nie żywym towarzyszem i przyjacielem?“ Czy może pojąć życie bez tych rozkoszy duchowych, jakie przynosi czytanie? — A jednak tak jest dla tysiąca istot ludzkich!

Słyszę nieraz panie lub panny uskarżające się na pustkę swego życia, na brak obowiązków i celów wyższych. Nie byłoby tych wyrzekań i skarg jałowych, gdyby każda kobieta zrozumieć zechciała, iż życie czczem i pustem być nie powinno i nie może, dopóki w jej najbliższem otoczeniu znajduje się choćby jedna istota ludzka nie umiejąca czytać i pisać po polsku.

Nieumiejętnego nauczać, to mniej więcej to samo, co zziębniętego i znużonego człowieka, po ciężkim dniu pracy, z szarego mroku zimowego wieczoru wprowadzić do czystego, ciepłego i jasno oświeconego pokoju. Czem jest dla jego strudzonego ciała odpoczynek, widok i ciepło wesoło palącego się ognia na kominku, gorący napój, jakim go przyjmiemy, tem dla duszy nieumiejętnego stanie się choćby najmniejszy promyk wiedzy. Nie mam zaś tu na myśli wielkich mądrości naukowych — bynajmniej! Dostępne one są tylko wybranym, którym środki materjalne pozwalają na wykształcenie szkolne. Chcę tu mówić o najuboższych, o tych ostatecznie upośledzonych, zaniedbanych, których rodzice nie są w możności oddania swych dzieci na naukę płatną, chociażby najelementarniejszą. Istot takich nigdzie nie brak niestety, bądź po kamienicach, raczej suterynach miejskich, bądź po piekarniach i czeladnich mieszkaniach dworskich — na wsi. Tak w mieście, jak na wsi, żyją więc one, raczej wegetują, o kilka kroków od nas, ale my ich nie widzimy, bo dookoła siebie nie umiemy patrzeć. Gdybyśmy tylko zechciały przetrzeć oczy i choć raz uważniej spojrzeć na otaczające nas ciemności, to z pewnością każda z tych, które ubolewają nad pustką swego życia, zapełniłaby je prędko, wnosząc do tych ciemnych umysłów światło wiary, nauki i ideału. Do spełnienia zaś tego zadania tak niewiele potrzeba! Trochę jeno dobrej i silnej woli, a każda z nas tyle zrobić potrafi, chociażby nawet rozporządzała bardzo szczupłemi środkami materjalnemi! Do nakarmienia maluczkich pokarmem duchowym nie trzeba pieniędzy, niezbędnych do nasycenia zgłodniałych. Aby opowiedzieć dzieciom o Bogu, nieśmiertelności, dać im pojęcie o tem, czem jest ziemia, słońce, gwiazdy, itd., czem czas i liczby, chyba podręczników nie potrzeba. Chcąc zaś dziecko, lub dorosłego nauczyć czytać i pisać wystarczy jedna książeczka za kilka fenygów p. t. A. B. C. Tym cudownym kluczem cały świat myśli i wiedzy otworzymy przed umysłem nieumiejętnego; ale nauczmy go także, aby w tym nowym dla niego świecie nie błądził po bezdrożach.

Zapewne, nim się przeleje całą skarbnicę A. B. C. w głowę nieokrzesanego dziecka, niemało dni, niemało godzin upłynie, któreby można stokroć przyjemniej spędzić na czytaniu najnowszej powieści lub miesięcznika. Zapewne, wśród zajęć domowych i tego wszystkiego co rodzina, świat i ludzie od nas wymagają, trudno nieraz znaleść czas na nauczanie drugich. Jednakże, powtarzam to raz jeszcze, dobrą i silną wolą dużo zdziałać można, nie wierzę zaś, aby którakolwiek z nas, chociażby najbardziej zajęta, nie znalazła z pośród długich godzin dnia powszedniego, jednej, jedynej godzinki do spełnienia tego bądź co bądź społecznego obowiązku.

Niechaj każda w przeciągu roku nauczy czytać i pisać po polsku chociażby jedno dziecko, to niewątpliwie po upływie lat kilku rozproszą się znacznie otaczające nas ciemności. Najlepszym tego dowodem, że najtrudniej jest oświecić pierwszego członka jednej i tej samej rodziny; młodsze dzieci już przez tego pierwszego trochę poduczone, o wiele łatwiej pojmują to, co się mówi i tłomaczy. Później, gdy i one na ludzi wyrosną, to już własne dzieci nauczać potrafią. Trzeba tylko chcieć i umieć rozniecić pierwszą iskrę, a światło przez nią zapalone, coraz szersze obejmować będzie kręgi. Tę iskrę błogosławioną starajmy się głównie my, kobiety, z serc naszych wykrzesać, dla tego też zwracam się z tą odezwą do „Świata kobiecego,“ znajdując, że ogólnem naszem hasłem powinny być te piękne słowa Krasińskiego:

Ciałom wszystkim rozdać chleba,
Duszom wszystkim myśli z nieba
Nic nie spychać nigdy w dół,
Lecz do coraz wyższych kół
Iść przez drugich podnoszenie.

Jadwiga Karwicka.

Walka o bluzki.

Z Wiednia donoszą: W świecie mody toczy się walka zacięta. Oto właściciele damskich salonów mód, idąc za impulsem, wyszłym z Paryża, poruszają niebo i ziemię, aby zdyskredytować bluzki damskie i zmusić panie do zaprzestania ich noszenia. Skarżą się, że od czasu, jak nastała ta moda, zostali wprost zrujnowani, do tego stopnia, że w składach, w których sprzedawano dawniej tygodniowo po 50 kompletnych sukien damskich, teraz sprzedaje się zaledwie pięć lub sześć. Za to w niektórych magazynach na Mariahilf w Wiedniu sprzedają w pewnych porach roku, jak np. w Wielkim tygodniu, po 5,000 bluzek tygodniowo. W walce tej mają właściciele salonów mód bardzo silnych przeciwników, którym niezawodnie ulegną. Występują przeciw nim bowiem zarówno właściciele składów sprzedających bluzki, jak i właściciele magazynów konfekcyi, utrzymujących na składzie gotowe suknie, wreszcie najważniejszy czynnik, t. j. konsumenci, a raczej konsumentki. Panie wiedeńskie nawet słyszeć nie chcą o zarzuceniu tego tak taniego, a tak praktycznego ubrania i zdecydowane są dalej ubierać się w bluzki, chociażby Paryż je zupełnie wyklął. Nawiasem mówiąc, jednak i w Paryżu podobna kampania, prowadzona już od lat dwóch przez pierwszorzędnych krawców damskich, nie wydała do tej pory pożądanych dla nich rezultatów, gdyż tylko w najwyższych sferach arystokratycznych udało się im ograniczyć cokolwiek noszenie bluzek. W końcu wspomnieć należy i o tem, że ze sprawą tą związana jest egzystencya wielu tysięcy biednych szwaczek wiedeńskich, pracujących w domu i dostarczających bluzek do składów. Liczbę tych pracownic obliczają na przeszło dwadzieścia trzy tysiące.

ROZMAITOŚCI.

Nad grobem Słowackiego w Paryżu. Od lat już pisze „Kur. Warsz.“ zdaje się kilkunastu istnieje w Galicyi założona przez młodzież „Komisya do sprowadzenia zwłok Juliusza Słowackiego do kraju,“ która, co prawda dotychczas celu swego nie dopięła i zapewne nieprędko jeszcze go osiągnie, przynajmniej jednak przypomina ludziom, że zwłoki autora „Beniowskiego“ na obczyźnie spoczywają, i, co ważniejsza, pamięta o grobie jego, który się na tamtejszym cmentarzu Montmartre znajduje.

Miejscowe „Koło młodzieży polskiej,“ jako przedstawiciel owej komisyi, ma pieczę o pomniku, na którym w rocznicę śmierci poety składa wieniec w jej imieniu, zapraszając na tę uroczystość przebywających w Paryżu rodaków.

Tegoroczny obchód nierównie liczniejszą niż zwykle ściągnął gromadkę, gdyż zaproszenie głosiło, że nad grobem poety przemówi... Konopnicka. Ze skupieniem i ciekawością słuchali obecni natchnionej improwizacyi poetki o życiu poety, o jego smutkach i radościach, o tem, co ukochał i ku czemu innych miłością natchnąć pragnął, o osamotnieniu, w jakiem za życia przebywał, i o czci i chwale, której doznał po śmierci, i która wciąż rośnie i kręgi coraz szersze zatacza. Przez całe przemówienie złotą wiły się nicią myśli i pragnienia, w „Moim testamencie“ zawarte.

Gdy skończyła, ręce złożyły się mimowoli do oklasków, w porę jednak spostrzegli się słuchacze, że nie licowałyby one z powagą miejsca. W milczeniu też wszyscy się rozeszli.

* * *

— *Morderca ks. Sergiusza.* Proces przeciwko mordercy w. ks. Sergiusza rozpoczął się 19 b. m. w Petersburgu. Wobec tego podajemy kilka ciekawych szczegółów z życia spiskowca, które ogłasza w lwowskiem „Słowie Polskiem“ jeden z współpracowników tego pisma.

Morderca, nazwiskiem Kałajew, nie sprawia bynajmniej wrażenia radykała terorysty. Oskarzony swego czasu o przestępstwo polityczne, opuścił Rosyą i udał się do Lwowa, gdzie tłomaczeniem z języka rosyjskiego zarabiał sobie na utrzymanie. Ojciec jego, rosyjski agent Platon Kałajew, umarł 1898 r. w Warszawie, matka jego, z domu Piotrowska, była Polką i jej to zawdzięcza dzisiejszy spiskowiec znajomość języka polskiego. Do Galicyi przybył młody Kałajew w styczniu r. 1902 i zamieszkał we Lwowie przy ul. Łyczakowskiej. W marcu tego roku przedłożył jednemu z redaktorów „Słowa“ pismo polecające od wspólnego przyjaciela obydwóch z Petersburga, i za jego wstawieniem się otrzymał we Lwowie lekcye języka rosyjskiego. Kałajew jako student nie okazywał wybitniejszego uzdolnienia. Jego przekonania polityczne nie były ustalone. W czerwcu 1902 r. opuścił Kałajew Lwów i powrócił do Rosyi. Podczas odsłonięcia pomnika Mickiewicza w Warszawie występował tamże jako korespondent „Mosk. Kur.“

* * *

14 letni potworek. W Hamburgu znaleziono w tych dniach w pewnym domu przy ulicy Szpitalnej pakiet związany sznurem, w którym znajdowało się nowonarodzone, uduszone dziecko. Sprawczynią wytropiono w osobie 14 letniej Gertrudy Mann, uczennicy, która porodziwszy potajemnie w domu przybranych rodziców, zawinęła dziecko w kaftanik, następnie w papier i złożyła pakiecik na schodach sąsiedniego domu. Dziewczyna zeznała, że uwodzicielem jest 42 letni (!) człowiek, kupiec żonaty i ojciec starszych już dzieci; zaprzeczała stanowczo, jakoby była udusiła dziecko, lecz oględziny lekarskie wykazały niewątpliwie morderstwo. Dziewczyna jest tak chora, że na razie umieszczono ją w szpitalu; uwodziciela aresztowano natychmiast.

* * *

— *Zeznanie Kuby rozpruwacza.* W Nowym Jorku zeznał człowiek pewien nazwiskiem Hermann, że jest sprawcą strasznych morderstw w Whitechapel, które przed 15 laty napełniły zgrozą nietylko Londyn, ale świat cały. Policya amerykańska przypuszcza wprawdzie, że H. nie jest zupełnie poczytelnym i fałszywie się oskarża, natomiast dr. Winslow, specyalista dla chorób umysłowych, któremu przed 15 laty poruczono zbadanie owych morderstw, wierzy, że H. jest Kubą rozpruwaczem, gdyż tamtego nie pochwycono nigdy, a owe morderstwa powtórzyły się w Ameryce. Według zdania lekarza cierpiał morderca na obłęd religijny.

DZIAŁ POWIEŚCIOWY.

FROZO.

Powieść romantyczna przez *Antoniego Hope.*

10) (Ciąg dalszy.)

— Konstanty uśmiechnął się wzgardliwie na to przypuszczenie.

— Gdzie ona jest, zapytała znowu dama, gdzie jest Eufrozyna?

— W niewoli u tego Anglika, odparł Konstanty.

Sądzę, że nastąpiło wyjaśnienie co do tego, bo mówili półgłosem, jak ktoś opowiadający długą historyą, i nie mogłem dosłyszeć co mówili, aż Konstanty znowu odezwał się głośno.

— Tak, musimy starać się ją uwolnić, ażeby zadowolnić ludność wyspy. Co do mnie mogłaby zostać tam tak długo jakby chciała, bo właśnie o tyle mi chodzi o nią, o ile mi się zdaje jej chodzi o mnie.

W istocie człowiek ten był co się nazywa podłym i obydwaj z Wlachem nie mogliby znaleść tak łatwo równych sobie — nie w Anglii w każdym razie. Co do Neopalii wyrobiłem sobie już opinią. Takiemi myślami przejęty, począłem znowu zabierać się do przerwanej ucieczki. Ale za chwilę znowu byłem zmuszony stanąć cicho pod murem i zatrzymać oddech w sobie jakoby udający martwego robaka, i trzymałem rękę na kurku fuzyi, bo drzwi szaletu się otwarły i Konstanty z Wlachem ukazali się na progu.

— Niedługo zaświta, rzekł Wlacho — zaczyna rozjaśniać się na horyzoncie.

Nader krytyczne było teraz moje położenie, przez otwarte drzwi padało światło lampy, rozjaśniło się na werandzie i otóż widziałem wyraźnie owe trzy osoby — bo i dama teraz nadeszła i gdyby która z nich była spojrzała w tę stronę, niezawodnie byliby mnie spostrzegli skurczonego pod ścianą domu. Byłbym mógł dać ognia i położyć trupem obydwóch mężczyzn od razu, ale człowiek cywilizowany ma pewne skrupuły, więc nie wystrzeliłem i stałem cicho, w nadziei, że mnie nie spostrzegą. I może nie byliby mnie spostrzegli, gdyby nie to, że Konstanty grając dalej swoją komedyą przywiązanego męża, nie był uważał za stósowne gorącemi uściskami pożegnać się ze swoją żoną. Wlacho znając na wskroś jego serce, wykrzywił usta strasznym uśmiechem i począł cofać się coraz dalej, aż znalazł się naraz tylko na parę kroków odemnie. Obawiałem się, że jeden krok dalej, a uderzy na mnie. Może nie byłoby przyszło do tego, może byłbym uszedł bezpiecznie i Wlacho nie byłby mnie spostrzegł, ale nie mogłem się powstrzymać, wyjąłem scyzoryk z kieszeni i wpakowałem go w najbliższą mi część jego ciała. Wlacho zawył z bólu, gdy ja pozostawiając scyzoryk, popchnąłem go silnie i z głośnym śmiechem tryumfu począłem uciekać ku domowi. Wkrótce jednakże kule poczęły świstać po nad moją głową i musiałem przyczepnąć na kolana, bo niezawodnie Konstanty i rozjuszony Wlacho strzelali z rewolweru.

Wreszcie kule ich się wyczerpały, powstałem z ziemi rzuciłem okiem po za siebie i ujrzałem ich stojących na tem samem miejscu. Wystrzeliłem parę razy i zacząłem uciekać na złamanie karku po tej samej drodze, na którą wchodziłem tak bezpiecznie. Potykałem się o korzenie drzew, zaczepiałem się o gałęzie, przeskakiwałem przez kamienie.

Raz przystanąłem i dałem ognia ostatnim moim nabojem. Ktoś zakrzyknął przeraźliwie — musiałem trafić dobrze, ale był to Wlacho, niestety, nie Konstanty. W tym samym momencie padł strzał i przedziurawił mi kapelusz. Teraz już nie posiadałem środków obrony i musiałem biegnąć coprędzej, aby uniknąć nieprzyjaciół, z których jeden gonił za mną. Był to Konstanty, moja kula przeszkodziła Wlachowi w biegu. Przypuszczam, że jeden z waszych bohaterów romansu, byłby stanął i spojrzał mu w oczy, bo tak zwykle dzieje się w powieści — ale ja uciekałem, bo Konstanty mógł mieć naboje, których ja już nie posiadałem.

Inną rzecz jeszcze miałem na względzie, bo zabijając mnie, Konstanty byłby zabił jedynego człowieka, który znał wszystkie jego tajemnice. A zatem w nogi. I otóż zaledwie wbiegłem na moje terytoryum, gdy usłyszałem wołanie „Charley, Charley, gdzież ty jesteś u kata?

— Ależ tutaj jestem, jak widzisz, ozwałem się dochodząc do szczytu skały i padając na ziemię ze zmęczenia.

Nie było wątpliwości, że wołanie Denisa zatrzymało w drodze Konstantego. Nie życzył sobie spotkać się z nami i zaraz też usłyszałem oddalające się jego kroki. Sądzę, że poszedł ratować Wlacha i pokazać się całym i zdrowym tej nieszczęśliwej kobiecie, swej żonie. Gdy znowu znalazłem się na dziedzińcu zawołałem z głębi serca: Dzięki Bogu, poczem spojrzałem wokoło siebie i śmieszna scena przedstawiła się mym oczom.

Denis Hogvardt i Watkins stali na dziedzińcu. Zwróceni tyłem do mnie wszyscy trzej spoglądali na dach kuchni z wyrazem, który w świetle zimnego poranku okazywał zakłopotanie i zdziwienie, bo na szczycie dachu niedostępna dla nich stała w wdzięcznej swej postawie Eufrozyna. Nie zważając na nich bynajmniej, stała ona spokojna i cicha, zapatrzona w stronę szaletu. Cała ta scena przypomniała mi obrazek, który kiedyś widziałem, przedstawiała ona kota siedzącego w harmonijnym spokoju na drzewie, podczas gdy u dołu trzech psów szczekało na niego przeraźliwie, bezsilnie w swej zajadłości. Zacząłem się śmiać.

— Co to za awantury? — zawołał Denis. Kto odbywał próby strzelania z rewolweru w lesie? I jak ona tam weszła na dach, Charley?

Zobaczywszy mnie, Eufrozyna ożywiła się, złożyła ręce i zapytała:

— Czy go zabiłeś?

Zapytanie to rozgniewało mnie, zdawało mi się, że powinna była także, choćby z grzeczności, dowiedzieć się o moje zdrowie.

— Czy go zabiłem? — odparłem opryskliwie. — Nie, on jest zdrów i cały.

— I — zaczęła, ale spojrzawszy na dół, zdawała się po raz pierwszy zauważać moich towarzyszy. — Musisz przyjść i opowiedzieć mi wszystko, rzekła, poczem zniknęła za skrzydłami dachu. Nadstawiłem uszy czy czego nie usłyszę w lesie, ale wszędzie panowała cisza, w różowem świetle poranku.

— Gdzie chodziłeś, Charley? — zapytał Denis w złym humorze, niekontent z postępowania Eufrozyny.

— Uciekałem ze życiem, odparłem, i to przed największym łotrem w świecie.

Zgadnij kto mieszka w szalecie?

— Konstanty.

— Nie mówię o nim.

— Przecież nie Wlacho, bo on w oberży.

— Nie, to pewna.

— Któż więc taki?

— Ktoś, którego widziałeś.

—O, przestań, nie czas po temu, aby się bawić w zagadki.

— Otóż dama, którą widziałeś w Optimum.

Denis podskoczył zdziwiony i zagwizdnął głucho.

— Kto, ta sama, którą widzieliśmy tam na obiedzie z Konstantym?

— Tak, ta sama.

Nadeszli Hogvardt i Watkins, a sądząc, że byłoby lepiej ażeby i oni dowiedzieli się o niecnych postępkach nikczemnika, który czynami swemi zdawał się urągać zasłużonej karze, ozwałem się głośno i z naciskiem:

— Tak, ona tam jest, jego żona.

Na chwilę zapanowało milczenie, którego nikt nie przerwał z otaczających, ale tam z dachu doszedł mnie głęboki, bolesny jęk, który szedł prosto do serca, jęk obrażonej dumy i zawiedzionej wiary. Może być, że zanadto szorstko i nieoględnie oznajmiłem im tę wiadomość, ale nie mogłem wiedzieć, że Eufrozyna ją usłyszy. Wszyscy spojrzeliśmy w górę. Jęk się nie powtórzył, ale niebawem usłyszeliśmy przesuwające się chwiejne kroki po dachu, a i my także weszliśmy do dworu milczący i smutni. Dzieją się

bowiem rzeczy takie na świecie, które oburzają poczucie uczciwego człowieka i nie dają mu spokoju dopóty, dopóki winowajca nie odbierze za nie zasłużonej kary. Poprzysiągłem sobie, że Konstanty Stefanopoulos musi odkupić swe winy.

ROZDZIAŁ VI.

Poemat jednookiego Aleksandra.

Mam pewne skrupuły na sumieniu, których nie mogę sobie przebaczyć i dla tego muszę się z nich wyspowiadać. Oszukać młodą dziewczynę jest rzeczą nader smutną, tak smutną, że wszyscy oburzyliśmy się na Konstantego, ale rozważywszy rzeczy na zimno nie ma wątpliwości, że grzech ten można łatwiej przebaczyć, niżeli morderstwo prawowitej żony.

Poeci zwykle opiewają zawód młodej dziewczyny, bo to może więcej przypada do ich wyobraźni, ale prawo karze męża, który zabił swą żonę. Co do mnie, wyznaję, że dopiero gdy porzuciłem się na materacu w kuchni chcąc użyć parę godzin spoczynku, przyszło mi na myśl, że żona Konstantego zasługuje na moje współczucie. Miała ona słuszność oburzać się na niego tak samo jak Eufrozyna, a oprócz tego znajdowała się w większem od tejże, niebezpieczeństwie. Eufrozyna była przedmiotem, po który on sięgał, a lady Franceska jak ją nazywał Wlacho, była mu przeszkodą do osiągnięcia tegoż. Co do mnie zdawało mi się, że raczej przeniósłbym śmierć, niżeli towarzystwo Konstantego, ale prawdopodobnie żona jego nie byłaby tego samego zdania, a z rozmowy, którą podsłuchałem, mógłem łatwo się domyśleć, że życie jej było w niebezpieczeństwie. Nie można było powiedzieć, że to epidemia, jak Wlacho zauważył mądrze do swego pana, bo febra na wyspie dotąd nie zabiła ani żony Konstantego, ani nas czterech. Ludzie zwykle podejrzywają chorobę, która przychodzi w stósowną porę i zabiera swoje ofiary.

Ale przypuściwszy, że świat cywilizowany nie widział by nic dziwnego w zniknięciu jednej pani Stefanopoulos i natychmiastowem ukazaniu się drugiej na jej miejscu, to mogłoby na pewno przyjść do tego, chyba, że ja ostrzegłbym lub ocalił damę w szalecie. Ale nie wiedziałem jak wykonać ani jedno, ani drugie.

A zatem ze skruchą wyznaję prawdę, że przestałem myśleć o tem, i zasypiając nie zastanawiałem się już nad tem, jak ocalić Franceskę, ale w jaki sposób pocieszyć Eufrozynę, właściwie rzecz mniejszej wagi, co byłbym zapewne uznał sam, gdyby mi nie było brzmiało w uszach echo jej bolesnego jęku. Wieści jakie nazajutrz rano przyniósł mi Hogvardt, gdy na śniadanie pożywiałem się kawałkiem pieczonego mięsa z krowy, nie były wcale pocieszające. Nie widziałem przed sobą drogi wyjścia. Jakkolwiek nie zdawało się, aby przyszło do formalnego ataku ze strony Neopalijczyków, którym nasze rewolwery dały się we znaki, jednakże dom był oblężony z tyłu i z przodu.

Na drodze prowadzącej do dworu ustawione były warty w pewnej od siebie odległości, z drugiej strony tak samo a Hogvardt mówił, że widział w lesie ludzi stojących na warcie. Byliśmy odcięci od morza, odcięci od szaletu. Oblężenie było równie niebezpieczne dla nas jak atak. Nie miałem nic do ofiarowania prócz uwolnienia Eufrozyny, a to prawdopodobnie nie obroniłoby nas, a pozwoliło Konstantemu prowadzić zaciętą bójkę do końca. Skończywszy śniadanie, sklopotany poszedłem do sieni i tam siadłszy, oczekiwałem przyjścia Eufrozyny, która podług mnie dawno już powinna była tam się ukazać. Byłem sam, bo każden z moich towarzyszy miał jakieś zajęcie, Hogvardt szczególnie był zajęty zdejmowaniem ze ściany długich noży, z któremi nie wiem co zamierzał zrobić, chyba uzbroić się niemi jak jeż kolcami.

Wkrótce nadeszła Eufrozyna, ale była to zupełnie teraz inna osoba. Ubiór męzki zastępowała długa lekka biała suknia z szerokiemi rękawami i luźnym zarzuconym na nią żakietem ozdobnym w piękne hafty — był to strój grecki narodowy. Ze zmianą ubioru nastąpiła zmiana w manierach. Łagodność była w jej twarzy, w oczach przebijał się wyraz dobroci. Szybko powstałem ofiarując jej krzesło, którego nie przyjęła, spojrzała mi prosto w twarz i zapytała:

— Czy to prawda?

Na to zapytanie opowiedziałem jej w prosty sposób całą historyą od początku do końca, zaczynając od wieczoru w restauracyi Optimum, a kończąc na ohydnej podsłuchanej rozmowie i dzikiej pogoni z zeszłej nocy. Kiedy jej mówiłem, że Konstanty nazywał Franceskę swą żoną, Eufrozyna zadrżała, a gdy jej nadmieniłem pobieżnie o mojem spotkaniu z nim i z Wlachem, spojrzała na mnie poważnie i badawczo, poczem odezwała się:

— Szczęście, że cię nie zabili.

Nie było rozczulenia w jej głosie, ani przesadzonej grzeczności, mimo to byłem jej wdzięczny za to powiedzenie. W końcu usiadła, oparła głowę na ręku, a oderwaną myślą od tego co ją otaczało i pogrążoną w głębokiej zadumie, studyowałem swobodnie, odkrywając w niej nowe wdzięki, które fantastyczny ubiór chłopca zakrywał. Zauważyłem także, że zdawała się więcej nam przychylną, co może też pochodziło ztąd, że po tem, co jej opowiedziałem, czuła się ofiarą człowieka bez zasad i to robiło ją więcej wyrozumiałą na nieszczęścia drugich. Tymczasem znosiła to wszystko spokojnie, nie okazując zmartwienia, ni gniewu, wreszcie zapytała.

— Czy pan sądzisz, że oni zamordują tę kobietę?

— Obawiam się, że może to nastąpić, jeżeli, naturalnie — tu zamilkłem, lecz ona szybko dokończyła za mnie.

— Jeżeli, — rzekła, on pozwoli jej żyć teraz, kiedy ja nie jestem w jego ręku.

— A czy chciałabyś pozostać zdala od niego? — zapytałem — to jest tak długo dopóki będę mógł cię zatrzymać?

Spojrzała wokoło zaklopotana.

— Jakżeż mogłabym tu pozostać? — zapytała cichym głosem.

— Byłabyś tu równie bezpieczną jak byłaś pod opieką stryja — odparłem.

Skinęła głową jakoby dając wiarę mym słowom, ale za chwilę zawołała:

— Ale ja nie trzymam z panem — ja trzymam z moim ludem. Wyspa jest ich i moją własnością — ona nie należy do pana. Nie chcę brać udziału w jej odstępstwie tobie.

— Nie miałem zamiaru proponować aby mi płacono za moją gościnność, odparłem. Byłoby to dziwnem w istocie. Ale zostawmy tę kwestyą na później, chcę mówić o naszem obecnem położeniu.

— Takim sposobem, rzekłem w końcu, że obstając przy moich prawach do wyspy, chodzi mi przedewszystkiem o to, aby nie narażać na niebezpieczeństwo życia moich towarzyszy i siebie.

— Jeżeli nie chcesz pan zrzec się posiadania wyspy, ja nic pomódz nie mogę, rzekła.

— Jakkolwiek ludność wiedziałaby jakim jest Konstanty, to jest takim, jak o nim mówiłeś, mimo to szłaby za nim, a nie za mną, gdybym oddała wyspę. W każdym razie ludność byłaby za nim, bo Neopalijczycy lubią mieć pana, mężczyznę i to Stefanopoulosa, więc zamknęliby oczy na wiele rzeczy, byleby Konstanty tylko ożenił się ze mną i objął rządy na wyspie.

Mówiła to wszystko zimno i spokojnie, bynajmniej nie oburzona z powodu niemoralnych zasad swych ziomków. Proste ich barbarzyństwo może robiło na niej pewne wrażenie; nienawidziła człowieka, któryby rządził na wyspie w tych warunkach, ale była pobłażliwą dla ludu, który przenosił swą dynastyą nad wszystkie inne. Mówiła o swojem uprojektowanem małżeństwie jakoby to była rzecz zupełnie naturalna.

— Będę musiała wyjść za niego, sądzę, wbrew wszystkiemu, rzekła.

Posunąłem krzesło ze złością. Przestałem być angielskim dżentelmanem na chwilę.

— Wyjść za niego? — zawołałem. — Przecież on zamordował starego lorda.

— To się zdarzało poprzednio w rodzinie Stefanopoulosów, — rzekła Eufrozyna z obojętną dumą.

— I zamierza zamordować swoją żonę, dodałem.

— Może jej się pozbędzie bez tego, rzekła, ale nagle wpadając w ton gniewny mówiła dalej.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nieznajoma.

Powieść z angielskiego — tłomaczył *F. A.*

16) (Ciąg dalszy.)

— Byli oni obydwaj żonaci?

— Doktor Grell miał żonę od dwudziestu lat, a Canington ożenił się wkrótce potem z córką hrabiego Clary. Ale ja muszę wracać teraz do domu.

— Ach, zostań jeszcze trochę i opowiedz mi więcej o tej smutnej historji.

— Nie mogę, przyjdę jednak za kilka dni do pani.

Wracając do domu myślała Ida nieustannie o dziwnem podobieństwie chłopczyka do kogoś znajomego i zwolna doszła do przekonania, że to jednak mógł być synek zmarłej pani Carell. Ale chociażby i tak było, to nie mogła sobie przypomnieć, do kogo on był podobnym. Że nie do matki, o tem wiedziała bardzo dobrze, pani Carell zupełnie inną miała twarz.

Ale gdy otwierała drzwi ogrodu przy Cedrowym Dworze, stanęła przed oczami jej duszy twarz dobrze znajoma i teraz wiedziała napewno, do kogo chłopczyk był podobny. I gwałtowne wzruszenie opanowało poczciwą dziewczynę i nagle okropne podejrzenie zbudziło się w jej sercu!

ROZDZIAŁ XI.

W hotelu pod Złotym Lwem obchodzono hucznie jakieś święto narodowe i tak szlachta okoliczna jak i najmożniejsi mieszczanie zgromadzili się tutaj na wspólną kolacją.

Doktor Canington, będący teraz bardzo wpływową osobistością, przewodniczył całemu zebraniu. Szanowano go jako lekarza, lubiano jako towarzysza przy kieliszku i bywano chętnie u niego, on zaś miał dom urządzony na wielką stopę, przyjmował wszystkich z prawdziwie wielkopańską gościnnością i czuł się w towarzystwie arystokratów zupełnie swobodnym i pewnym siebie. Tytuł żony otwierał mu wstęp do najwytworniejszych salonów, z czego on też w całej pełni korzystał. Szeptano wprawdzie tu i owdzie, że pomimo ogromnej praktyki i majątku, odziedziczonego po ojcu, ma znaczne długi, ale to już nikogo nie obchodziło i nie troszczono się o to.

Pomimo, że nie lubił występować publicznie, przyjął tym razem ofiarowane mu przewodnictwo w zgromadzeniu. Musiał więc prawić mowy, wznosić toasty, zająć się całem urządzeniem zabawy i przekonał wszystkich, że lepszego przewodniczącego nie można sobie było życzyć.

Około jedenastej wyszedł z hotelu i zamyślony wracał do domu.

Oklaski i pochwały jakie mu dziś wszyscy oddawali, oszołomiły nieco zimnego tego i spokojnego człowieka. Zapomniał o przeszłości i zapomniał o teraźniejszości, zajmując się jedynie przyszłością, która mu się ukazywała w bardzo świeżych kolorach.

— Jestem teraz wielkim wobec tłumu — myślał uniesiony szczęściem — i ktoby śmiał podnieść jaką skargę na mnie, tegoby tylko wyśmiano i wyszydzono! A pomimo to opuszczę Wyndham w najkrótszym czasie... Zdawałoby się, że jakieś niewidzialne więzy przytrzymują mnie tutaj, i że ja tych więzów zerwać nie mogę... Czemu ja tu zostałem? Czy to jaki ostrzegający głos wewnętrzny? Ale ja dziś myśleć o tem nie chcę! Jakże byłem nierozsądnym, aby tu tak długo mieszkać. Londyn jest najodpowiedniejszem dla mnie miejscem pobytu! Nie spocznę prędzej, dopóki nie pozyskam również łaski króla! Przecież i ja mogę baronem zostać, tak jak Stefan Grell! Wtedy Emilja nie będzie potrzebowała patrzeć na mnie z góry... Ale cóż to — czego tam chcecie?

Pytanie to było zwrócone do jakiejś kobiety, stojącej przy drzwiach jego domu.

— To ja, panie doktorze, Poterowa.

— Ach, to pani! O cóż tam chodzi?

— Prosiłabym bardzo, aby pan doktor poszedł do pani Brown, mieszkającej w ostatnim domku na ulicy Brooma. Sprowadziła ona się tu dopiero przed kilku tygodniami i ma chore dziecko, sześcioletniego chłopczyka. Może byś pan tam poszedł jutro rano, — to dosyć czasu.

Canington zapisał sobie adres i przyrzekł tam iść.

— Ciekawy jestem, czy Emilja już w domu — myślał, wchodząc na schody.

Kochał on ją zawsze jeszcze, to jest o tyle, o ile kochać wogóle umiał.

— Żona moja już wróciła? — zapytał służącego.

— Tak, przed pół godziną.

Emilia przyjęła męża dziś bardzo łaskawie, nudziła się bowiem sama, i nie wiedziała, czem się zająć i rozerwać.

— Dzięki Bogu, że już jesteś, — zawołała, — u Redmondów straszne dziś były nudy! Chcieli mnie jeszcze dłużej zatrzymać, ale wymówiłam się bólem głowy. Oni wyjeżdżają na przyszły tydzień do Londynu, — dodała z ciężkiem westchnieniem.

— Jeżeli chcesz jechać z nimi, to możesz mi tylko słowo powiedzieć, — rzekł Canington uprzejmie.

— Nie, nie, nie mógłbyś przecież jechać ze mną!

— Niestety!

— Porzuć praktykę tutejszą i przenieś się do Londynu! Tam zupełnie inne byłoby życie!

— Mam ten zamiar od dawna. Wszakże zabrałbym z sobą to, co mam najdroższego, to jest ciebie.

Emilia rozśmiała się i oboje rozmawiali długo jeszcze w najlepszych w świecie humorach.

Nazajutrz około południa udał się Canington do domku pani Brown.

W mieszkalnym pokoju nie było, oprócz chorego chłopczyka, nikogo więcej.

Canington zbliżył się do niego.

— Czy to ty jesteś.....

I nagle umilkł przestraszony. Dziecko podniosło główkę i spojrzało na niego, a widok tej wychudłej i bladej twarzyczki okropne na nim wywarł wrażenie. Zapatrzony, stał w milczeniu i odzyskał dopiero przytomność, gdy pani Brown stanęła na progu.

— Zdawało mi się, że słyszę obcy głos, — rzekła, — i nie omyliłam się. Jesteś pan doktorem Canington, którego kazałam prosić?

— Tak, — odpowiedział, patrząc na nią tak przenikliwie, jak poprzednio patrzał na dziecko.

Pani Brown udawała, że nie zważa na to.

— Chłopiec jest chory. Widziałeś pan już jego ranę?

— Nie, nie! On mi kogoś przypomina..... Jak się pani nazywasz?

— Brown.

— Zkąd przybyłaś tu?

— Ze Szkocyi. Tam się mój syn urodził i wychowywał aż do tego czasu. Jest to moje najmłodsze dziecko.

— Więc urodził się w Szkocyi! — powtórzył Canington, nie spuszczając ani na chwilę oczu z twarzy milczącego chłopczyka.

— Tak, ale to zresztą nie należy do rzeczy, odrzekła pani Brown szorstko.

— O przeciwnie, jest to czasem bardzo nawet dla lekarza ważne, jeżeli wie, w jakim klimacie chory się urodził i żył. Nie pytam dla prostej ciekawości! Ale pokaż mi pani teraz ranę.

Pani Brown zdjęła bandaże, Canington pochylił się, aby obejrzeć kolano, ale zamiast na ranę, patrzał ciągle na twarz dziecka, chociaż nie było w niej nic nadzwyczajnego. Tylko oczy były bardzo wielkie i ciemne, co dziwnie odbijało od zupełnie jasnych włosów.

— Boli cię to? — zapytał teraz Canington chłopca.

— Nie, ale patrz pan, mój żołnierz nie chce stać.

— Daj mi go, ja ci go zaraz sporządzę.

I wziąwszy figurkę z blachy, wyprostował scyzorykiem zgiętą nogę i postawił żołnierza na pudełku.

— Widzisz, teraz wszystko w porządku, — zawołał.

Chłopczyk był uszczęśliwiony, a promień radości, jaki błysnął w jego oczach, był znowu tak dziwny, że Canington zadrżał mimowoli.

— Zdaje się, — że to dziecko bardzo jest spokojne.

— Dopóki nie zachorowało, było niezmiernie żwawe. Zkąd się ta rana właściwie wzięła, panie doktorze — zapytała pani Brown.

— Może powstała z powodu silnego uderzenia, a może też z wrodzonej słabości dziecka.

Potem zapisał okłady i lekarstwo i odszedł, zatopiony w myślach o chorym chłopczyku tak, że o wszystkiem innem zupełnie zapomniał.

ROZDZIAŁ XII.

Kilka godzin później wyszły Mira z Emilią na przechadzkę, i zwróciły się na ulicę Brooma, ponieważ Mira chciała tam odwiedzić jakąś chorą kobietę. Przechodząc koło domku wdowy Brown, ujrzały w ogródku chłopczyka, siedzącego w wysokiem krześle. Przed nim na deseczce leżały rozmaite zabawki, ale rączki dziecka były bezwładnie opuszczone i oczy zamknięte.

Dziecko spało.

— Boże Wielki! — krzyknęła Emilia zatrzymując się. — Patrz Miro, jakie uderzające podobieństwo!

— Do kogo?

— Nie widziałam jeszcze nigdy takiego podobieństwa! Nie zauważyłaś tego, Miro?

— Nie, nie znam nikogo, kogo by mi ta twarz przypominała.

— Jeżeli tego nie wiesz, to ja ci też nie powiem.

I już mijały dom, gdy usłyszały głos kobiecy z pokoju:

— Lotarze!

— Słuchaj! — szepnęła Emilia, chwytając rękę siostry.

— Zdaje mi się Lotarze, że już znowu usnąłeś, — wołała tymczasem pani Brown, — a wiesz, że nie wolno ci spać w ogrodzie we dnie, bo potem nie możesz usnąć w nocy!

Teraz wyszła pani Brown z pokoju i spostrzegła Mirę i Emilią.

— To dziecko pewnie chore, — rzekła Mira.

— Tak, bardzo! Przyjechałam tu z niem, myśląc, że świeże powietrze uleczy je. Obudź się Lotarze, bo ci twoi żołnierze uciekną.

Chłopczyk obudził się i zwrócił swe prześliczne ciemne oczy na obce sobie panie.

— Teraz i ja widzę podobieństwo, — szepnęła Mira. — Jest to coś nadzwyczajnego, mianowicie w oczach!

— Ależ zkąd znowu! Oczy właśnie nie są nic a nic podobne! To jedyne tylko nie jest podobne! Gdy dziecko spało......

— Patrz, czy to nie jej spojrzenie? — przerwała Mira szybko.

— Jej spojrzenie? — powtórzyła Emilia zdumiona. — O kimże ty właściwie myślisz? Ja przecież.....

— O Celinie!! Chłopiec ten jest niezmiernie do niej podobny! Czyje to jest dziecko? — dodała, zwracając się do pani Brown. — Ono mi tak bardzo przypomina jednę z moich . . . . . przyjaciółek!

— To mój syn, — brzmiała krótka odpowiedź pani Brown.

Obie panie oddaliły się.

— Mylisz się Miro, — zaczęła po chwili Emilia, — ten chłopiec wcale nie jest podobny do Celiny!

— Przecież ty prędzej to odkryłaś, niż ja.

— Ale nie do Celiny.

— Więc do kogo?

— Tego ci nie powiem — nie mogę powiedzieć! Celiny w każdym razie nie przypomina, nic a nic!

— Tak pięknych, promiennych oczu u nikogo jeszcze nie widziałam, jak u Celiny i u tego chłopczyka. Nasze oczy zupełnie są inne.

— Wrócę raz jeszcze i obejrzę sobie lepiej to dziecko, — rzekła Emilia, i wróciła rzeczywiście do domu pani Brown. Mira szła za nią, a gdy stanęły znowu przy drzwiach ogrodu, wpatrywały się obiedwie długo i uważnie w bladą twarz chorego chłopczyka.

— No i cóż? — zapytała w końcu Mira.

— Podobieństwa z Celiną nie widzę wcale, — odrzekła Emilia, — ale z kimś innym.... tylko oczy są odmienne.... zresztą zupełnie te same rysy twarzy... zupełnie te same... Dziwna rzecz!

— Co jest dziwnego?

— Że ty nie widzisz tego podpadającego podobieństwa z Celiną! Czemu mi nie chcesz powiedzieć, kogo on tobie przypomina Czy kogo z naszej rodziny?

— O nie, nie! Ale czemu ty zawsze wyrażasz się o Celinie tak, jak gdyby ona już nie żyła?

— A cóż mam myśleć? Tyle lat już minęło i nie znalazłam jej śladu! Nie mogłam też wypełnić przyrzeczenia danego umierającemu ojcu, i to dręczy mnie niewypowiedzianie!

— Więc jeżeli jesteś tak mocno przekonana o jej śmierci, to czemu nie weźmiesz tych trzech tysięcy funtów, które tobie w takim razie przypadają?

— Ja tych pieniędzy nigdy dla siebie nie wezmę. Dopóki się nie przekonam dostatecznie o śmierci Celiny, dopóty ich nie ruszę, a potem...

— A potem co?

— Zobaczymy jeszcze! Ja mam dosyć dla siebie i pieniędzy tych nie pragnę.

Wiadomo, że gdy chodzi o podobieństwo dwóch osób, to zawsze zachodzą sprzeczki, jedni twierdzą tak, drudzy inaczej. I co do syna pani Brown nie mogły się obie siostry zgodzić, każda z nich mówiła, że zauważyła wielkie podobieństwo, ale każda inną osobę miała na myśli.

Tego samego dnia spotkał Canington Poterową u chorej żony jednego z kupców. Poterowa wyszła z nim do drugiego pokoju, aby go jeszcze zapytać o rozmaite dyspozycje i rzekła w końcu:

— Był pan doktor już u pani Brown?

— Tak, dziś rano. Zkąd ona przyjechała i czego tu chce?

— Przybyła ze Szkocji, a czego tu chce, tego mi nie powiedziała. Ale ja się domyślam trochę... Przypominasz pan sobie jeszcze tę młodą, piękną panią, która mieszkała u wdowy Gold i została otrutą kroplami?

— Co.. to ona.. byłaby tu w celu... — krzyknął Canington, blady jak ściana.

— Jestem pewną, że ona po to tu tylko przybyła, aby wyśledzić, kto ją otruł i co się działo przy jej śmierci!

Canington wpatrywał się teraz w twarz Poterowej tak samo, jak przed obiadem w twarz dziecka, tylko, że był o wiele niespokojniejszym w głębi serca. Ale panował już znowu zupełnie nad sobą i nic nie zdradzało jego wewnętrznego wzruszenia.

— Ależ to szaleństwo — szepnął.

— I ja tak mówię. Bo na cóż się to przyda? Gdybyśmy mogli wyśledzić, kim właściwie pani Carell była i kto ją otruł — ale to się nigdy nie wyda. Powiedziałam to też pani Brown.

— Ah, rozmawiałaś pani z nią o tem?

— Naturalnie! Od dnia, w którym jechałyśmy razem omnibusem, nie przestaje mnie o wszystko wypytywać.

— Omnibusem?

Pani Poter opowiedziała historją swej znajomości z panią Brown z wszelkiemi szczegółami i cieszyła się niezmiernie, że znalazła tak uważnego słuchacza.

— Powiadałaś pani już komuś innemu o tem? — zapytał Canington.

— Broń Boże — odrzekła gadatliwa kobieta, zapominając zupełnie o Idzie. — Pani Brown surowo mi to wzbroniła. Do kogo zresztą miałabym mówić o takich rzeczach?

— I ja też radzę milczeć. Ze strachem jeszcze myślę o tym tłumie ciekawych, którzy mnie nachodzili, aby się wszystkiego dowiadywać. Więc milcz pani! Czemu pani Brown zakazała ci o tem mówić?

— Nie wiem, nie przyznaje się też do tego, że chce tę sprawę wyśledzić. Jest ona bardzo skrytą i nie wypowiada swoich zamiarów!

Canington wracał do domu w głębokich pogrążony myślach. Przyszedł on do tego przekonania, że owa pani Brown musi być tą samą, która przed laty zabrała z sobą dziecko pani Carell i która rozmawiała z nim na dworcu w New Wyndham. Czy dziecko, które tu teraz przywiozła miałoby być owem dzieckiem? Ale synek pani Carell byłby teraz już w ósmym roku, podczas kiedy pani Brown mówiła, że chłopczyk jej ma dopiero sześć lat. I na starszego też nie wyglądał. Chore dzieci wyglądają jednak zwykle młodziej i nie wyrastają tak prędko, jak zdrowe.

Gdy wrócił do domu, przygotował lekarstwo i włożywszy buteleczkę do kieszeni, wyszedł znowu na miasto. Przechodząc koło składu z zabawkami, kupił drewnianego trębacza, który za naciśnieniem sprężyny podnosił ręce i przykładał trąbkę do ust i udał się wprost do mieszkania pani Brown.

Wdowa siedziała przy stole, obok niej chłopczyk jadł kolacją.

— No, jakże się miewa mój mały pacjent? — zawołał Canington uprzejmie, i zbliżył się do stołu.

Pani Brown, zdumiona, spojrzała na niego, nie spodziewała się bowiem dziś powtórnej jego wizyty.

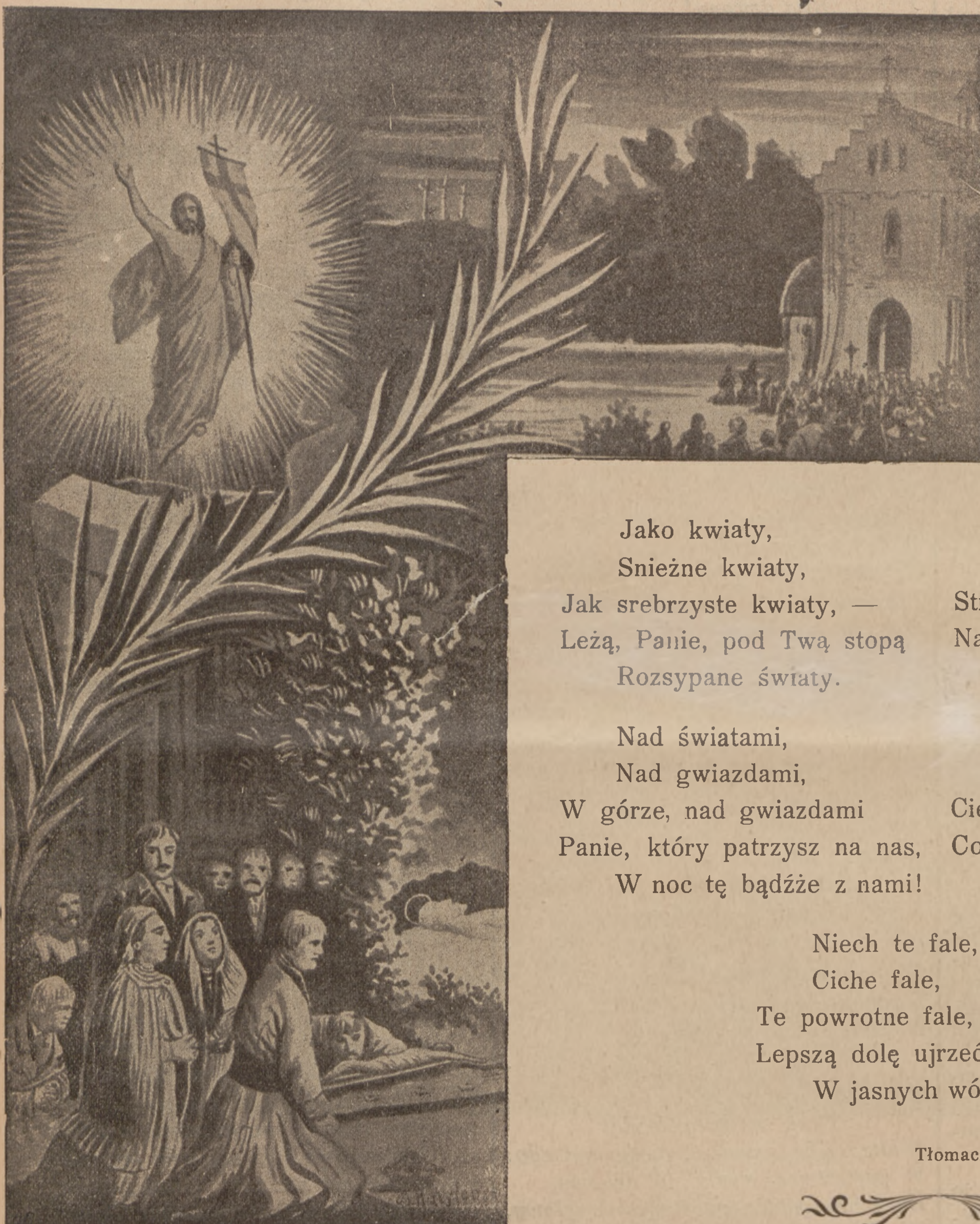
(Ciąg dalszy nastąpi.)



W. STEINHAUSEN. **CHRYSTUS USPAKAJAJĄCY FALĘ.**

Album „Pracy". Drukiem „Pracy".

DZIAŁ ILLUSTROWANY.



Modlitwa w noc Zmartwychwstania Pańskiego.

Jako kwiaty,
Snieżne kwiaty,
Jak srebrzyste kwiaty, —
Leżą, Panie, pod Twą stopą
Rozsypane światy.

Nad światami,
Nad gwiazdami,
W górze, nad gwiazdami
Panie, który patrzysz na nas,
W noc tę bądźże z nami!

W tej to nocy,
Długiej nocy,
Strasznej dla nas nocy,
Naszym duchom skołatanym
Dodaj hartu, mocy.

Niech już wioną,
W noc niech wioną,
Ciemne fale wioną,
Co nam duszę ukołyszą,
Co ukoją łono.

Niech te fale,
Ciche fale,
Te powrotne fale,
Lepszą dolę ujrzeć dadzą
W jasnych wód krysztale.

(Antoni Klaszterski.)
Tłomaczył z czeskiego *Konrad Zaleski.*

ALELUJA!...

Za chwilę przemówią dzwony.

Milczały w żalu, albowiem pod niemi był Grób Chrystusowy, cichy a święty, osnuty półzmrokiem i oplątany tęczy pajęczyną; milczały w zadumie, albowiem pod niemi śmierć siała dopiero ziarna Odkupienia i nowego Życia.

Więc zwisły śpiżowe serca, spętane Bolem i zamarły w grobowem Milczeniu potężne głosy.

Nie biegły już rozkołysane skrzydlate echa, ani w świty różane, ani w zmierzchy liliowe, ani pod ten skrzący diament gwiazdy wieczornej, ani pod srebrny sierp miesiąca, rozśpiewane na Jutrznię lub rozmodlone na *Ave.*

I zdało się, że zmarła legenda dzwonów, która w śpiżowe serca zaklęła żywą duszę.

Wisiały dzwony nieruchome i martwe na wieżycach przez „dni trzy.‘‘

Bo czyż dzwonić miały w te „ciemne Jutrznie‘‘ i w te z Golgoty idące łuny zachodu?... Zali miały śpiewać — płaczem?

Tedy milczały dzwony i zwisły nie-

ruchome na wiązadłach, a serca ich zamarły. Mdłe świty pełzły po zaśniedziałych i zielonawych arabeskach ich otoczy, po symbolach rzezanych, po wypukłych wizerunkach świętych, po starych liczbach i krzyżach, nigdzie nie zapalając blasków. Tylko refleks purpurowy gasnącego słońca pisał wśród rzeźb i śniedzi wieków: *Lacrimae!*

I ciekły łzy purpurowe zachodu po niemych dzwonach.

Aliści trzeciego dnia pod dzwonami poczęły pękać Groby.

Zaszumiało w błękicie, zaszumiało w głębi ziemi, i dalekie echa przyniosły na skrzydłach wiosny zerwane z ust cherubowych pierwsze i stłumione jeszcze:

— Aleluja!...

„Trzeciego dnia zmartwychwstał!“

„Chrystus zmartwychwstan jest.“ Chrystus rozpętał okowy Nocy i Śmierci, Chrystus rozwiązał pieczęcie Grobu.

Aleluja!... To znaczy — Tryumf.

Pochwyciły głos ten cudny sasanki pod borem, i dzwonki w lesie, i wierzby nad rzeką, i cała ziemia, od ros jeszcze biała, a potem wchłonęły go serca ludzkie.

Dzwony drgnęły.

Na wszystkich wieżycach, co strzelają ku niebu, ożyły śpiżowe serca, i rozśpiewało się w nich wesele, jako wpierw łkanie i płacz zamierały w ciszę.

Za chwilę przemówią te dzwony.

Zakołyszą się kadzielnice, zamajaczą obłoki dymu, rozbłysną światła pod przyćmionemi nawami kościołów i uderzy w strop pieśń stara:

„Wesoły nam dzień dziś nastał!“

Wtedy uderzą dzwony.

A będzie ta ich mowa śpiżowa i potężna, jak chorał Tryumfu, srebrna i dźwięczna, jak hymn Odkupienia i odrodzonego Życia.

Albowiem poniosą one wieść, że cud Wielkiej Nocy dokonał się i spełnił, a poniosą ją i w tę srebrną pełnię księżyca, i w ten świt różany, i do serc ludzkich.

Aleluja!... *Resurexit!...*

Wtedy uderzą także i serca ludzkie, a brat z bratem podzieli się i dobrą wieścią, i życzeniami. I dzielić się będą słowem Miłości.

Za chwilę uderzą dzwony.

Przed nimi posyłamy Wam słowa:

Błogosław, Zmartwychwstały Chryste, budzącej się na nowo Wiośnie, młodemu Życiu i na nową Pracę skruszonym sercem.

Aleluja!...

A teraz niech już do Was mówią dzwony.

Cyt!... Oto biją!...

—b—

* * *

Aleluja!...
...Biją dzwony!
Niechaj będzie pochwalony!

. . . .

Rzucam myślą most zwodzony
W bratnie dusze, w moje strony...
Niechaj będzie pochwalony!

. . . .

Aleluja!
Z dziecięcym pacierzem
Widzę wioskę, rozpiętą pod krzyżem —
Białe chaty i białe sukmany,
Szmat poletek, runią malowany,
Boćki sznurem krążą nad łąkami,
Gajny borek przygrywa echami,
Na cmentarzu, nad mogiłą chłopią
Białe brzozy świeżą rosą chłopią
Białe brzozy świeżą rosą kropią;
Między strzechy w zagrodne podwórka
Wielkim głosem leci sygnaturka...
Wota... leci od izby do izby...
Usłyszeli... wybiegli przed przyzby,
Idą... niosą przy piersi prostaczej
Zgrzebne zajdki pisanek, kołaczy,
Chlebuś, strojny w barwinkowe pęki —
Idą drogą wedle Bożej Męki,
Co się w skrętach popod krzyżem słania...
...Widzę moich w święto Zmartwychwstania!

. . . .

Aleluja!...
...Biją dzwony!
Niechaj będzie pochwalony!

. . . .

Rzucam myślą most zwodzony...
Dwór ojcowy... stół święcony...
Niechaj będzie pochwalony!

. . . .

Aleluja!
...Oczy zaszły gwiazdą!
Widzę ciche dziadów, ojców gniazdo:
W portretowej wielki stół dębowy,
Ze ścian patrzą podstrzyżone głowy,
W odrzwiach z cyny świeci kropielnica,
Przy niej w wianku żyto i pszenica,
Plon święcony ze zbiorów latosich,
Na rosochach zawieszony łosich;
Kurantowy dzwoni starą śpiewką,
Biały „bazia“ wiewa chorągiewką,
A za stołem dziadunio z babunią
W kole wnucząt złote serca strunią,
Szczepiąc miłość w młodem pokoleniu
Ku tej braci, siadłej na podsieniu,
Co się zbiegła i szarą siermięgą
Dworskie progi objęła jak wstęgą!
Dziaduś chlipie... ekscytarz podzwania...
...Widzę wszystkich w święto Zmartwychwstania!

. . . .

Aleluja!
...Biją dzwony!
Niechaj będzie pochwalony!

. . . .

Widzę w duszy rozmodlonej
Świat rodzony, świat marzony...
Niechaj będzie pochwalony!

El.

Dawne

zwyczaje wielkanocne.

Uroczystość Zmartwychwstania Pańskiego, jako przypadająca w porze wyzwolenia się ziemi z oków lodowych, zespoliła w sobie szereg obrzędów kościelnych i obchodów prastarych, sięgających w bardzo odległą, wspólną dla wszystkich ludów przeszłość. Wszystkie żywioły i symbole znajdują oddźwięk w te dni zwycięstwa słońca nad ciemnością, życia nad śmiercią.

Po poświęceniu ognia i wody we Wielką sobotę następuje z kolei poświęcenie ścian domostwa i strawy.

Obrządku tego dopełniano u nas niechybnie od niepamiętnych czasów, jawne zaś dowody jego istnienia posiadamy z zarania XVI-go stulecia. W „Agendzie“ krakowskiej, wytłoczonej 1514 roku, umieszczono już formułę poświęcenia uczty wielkanocnej, a w pochodzącym z tegoż czasu wspaniałym rękopisie pergaminowym „Pontyfikale“ biskupa płockiego Erazma Ciołka, znajduje się miniatura, wyobrażająca właśnie, jak kapłan kropi wodą święconą zastawioną na stole misę z prosięciem i kołacze.

Bo też pierwotnie „święcone“ składało się ze zwykłego posiłku naszych przodków, przygotowanego za wczasu i przechowanego w komorze, albowiem podczas Wielkiego tygodnia nie godziło się warzyć potraw mięsnych. Te pospolite dania: wieprzowina wędzona, kiełbasy, ser i jaja, stały się nieodzownemi na ucztach późniejszych, kiedy już zagęściły się zbytki. Mikołaj Rej, jako różnowierca, w „Postylli polskiej“ z roku 1556 wydrwiwa rodaków, że mają za złego chrześcijanina tego, kto nie jada na Wielkanoc święconego: kiełbasy, jarząbka i chrzanu. Laboureur zaś w roku 1646-ym pisze o Polakach: „Mają wszyscy dnia tego baranka święconego na stole, sucho pieczonego, oraz placki, pełne szafranu wszystkiego, resztę zostawiając służącym, poczem stół zastawiany bywa, jak zwykle.“ Później dopiero nastały wymyślne dania i wspaniałe zastawy stołowe, o których opowiadają dziwy powieściopisarze nasi.

Obszernego a prawdziwego opisu

uczty wielkanocnej z XVI., a chociażby XVII. wieku nie posiadamy jednak, gdyż autorowie, zaczytani w Senece i Cyceronie, nie bawili się takiemi „fraszkami.“ Opowiadanie Pszonki o święconem w Krakowie i u Radziwiłła Sierotki w Nieświeżu jest, jak wiadomo, robotą z początku XIX. wieku.

Więcej zaufania budzi opis święconego z czasów króla Władysława IV., ogłoszony w *„Kuryerze warszawskim“* (rok 1828 Nr. 88), jako wyjęty z „jednego ze starych kalendarzy poznańskich.“ Ponieważ jednak kalendarza tego nie zdarzyło się nam widzieć, podajemy ów opis jedynie na wiarę *„Kuryera,“* jako bardzo prawdopodobny, chociażby nieprawdziwy:

„Wojewoda Sapieha w Dereczynie, takie wyprawił święcone, na które zjechało się co niemiara panów z Litwy i Korony:

Na samym środku był Baranek, wyrażający *Agnus Dei,* z chorągiewkami, calutki z pistacjami, a ten specyał dawano tylko damom, senatorom, dygnitarzom i duchownym.

Stało 4-ch przeogromnych dzików, to jest tyle, ile części roku. Każdy dzik miał w sobie same wieprzowiny, *alias* szynki, kiełbasy, prosiętka etc. Kuchmistrz najcudniejszą pokazał sztukę w upieczeniu tych całkowitych odyńców.

Stało *tandem* 12 jeleni także całko pieczonych, ze złocistemi rogami, całe do admirowania, nadziane były rozmaitą zwierzyną, *alias* zającami, cietrzewiami, dropiami, pardwiami. Te jelenie wyrażały 12 miesięcy.

Naokoło były ciasta sążniste, tyle, ile tygodni w roku, t. j. 52, całe cudne placki, mazury, żmujdzkie pierogi, a wszystkie wysadzane bakalją.

Za niemi było 365 babek, to jest tyle, ile dni w roku, a przy nich 8,760 jaj pisanek, to jest tyle, ile godzin w roku. Każde było adornowane inskrypcyami, floresami, że nie jeden tylko czytał, a nie jadł.

Co zaś do bibendy, były 4 puhary, *exemplum* 4 pór roku, napełnione winem jeszcze od króla Stefana. *Tandem* 12 konewek srebrnych z winem po królu Zygmuncie; te konewki *exemplum* 12-tu miesięcy. *Tandem* 52 baryłek także srebrnych, *in gratiam* 52-ch tygodni; było w nich wino cypryjskie, hiszpańskie i włoskie. Dalej 365 gąsiorków z winem węgierskiem, *alias* tyle gąsiorków, ile dni w roku; a dla czeladzi dworskiej 8,760 kwart miodu robionego w Berezie, to jest tyle, ile godzin w roku.“

Jak widzimy, i na tej uczcie prym trzymały ilością jaja wielkanocne, czyli pisanki, albo kraszanki. Odwieczny to bowiem, już w kosmogonii indyjskiej i mitach egipskich spotykany symbol siły tworzącej i niszczącej, dnia i nocy, żywota i śmierci, tego przebytego życia, które zgasło, i tego nowego, które się ze śmiercią zaczęło. Na grobowcach greckich i rzymskich wyrzeźbione jaje powtarza się często, a w prastarych mogiłach słowiańskich można je znaleźć wypalone z gliny. Jaje — to początek wszech rzeczy w poważnem, a i w żartobliwem znaczeniu, bo nawet Rzymianie zaczynali biesiady *ab ovo usque ad poma* (od jaja aż do jabłka).

Drugi celniejszy zwyczaj, do świąt Wielkanocnych przywiązany, a trwający ongi aż do Zielonych świątek — to śmigus lub dyngus, albo „śmigórzt,“ jak pisze ks. Stanisław Grochowski w XVI. stuleciu. I ta zabawa teraźniejsza miała niegdyś głębsze znaczenie. W średnich wiekach świeżo nawróceni chrześcijanie obchodzili na Wielkanoc rocznicę chrztu *(Pascha annotinum),* gromadząc się po kościołach dla utwierdzenia w wierze. A gdybyśmy jeszcze dalej sięgnąć chcieli, to u stóp Himalajów, w Indyach, ujrzymy, że w kwietniu, na zakończenie starego roku, ca-



W. Steinhausen. **W drodze do Emmaus.**

ła ludność schodziła się nad rzeki, dla oblania się wzajem wodą i omycia się z grzechów.

I my podobnież, jak staroświecka pieśń powiada: „Tego dnia wesołego, prosimy Króla Niebieskiego, byśmy z grzechów powstali, a po śmierci z Nim królowali.“

Ładzisław Borzywojowicz.

Swięcone
w dawnej Warszawie.

W opowieści, a raczej pamiętniku p. t. „Święcone czyli pałac Potockich w Warszawie“, napisanym przez Bonawenturę z Kochanowa, która doczekała się w Poznaniu dwóch wydań (nakładem Jana Zupańskiego: w r. 1854 i 1861), obecnie prawie zupełnie wyczerpanych, znajdujemy bardzo ciekawe ustępy, poświęcone opisom święconego i zwyczajów wielkanocnych naprzód w dawnej Polsce („Kilka słów przedwstępnych“), a dalej w samej Warszawie.

Pod pseudoninem Bonawentury z Kochanowa ukrywał się autor wielu powieści i obrazów obyczajowych, Leon Potocki, syn jenerała wojsk polskich, Stanisława Potockiego i hrabianki Sołłohubówny, urodzony w roku 1800 w Horyhorkach na Białej Rusi, a zmarły w Rydze w r. 1864; był on doskonałym znawcą współczesnych stosunków towarzyskich i obyczajów Warszawy, gdzie zresztą ukończył szkoły, a później był urzędnikiem komisji oświecenia i warszawskiego okręgu naukowego.

Opis „święconego“ z pod pióra tego autora ma wszelkie cechy wiarogodności pamiętnikarskiej, i dla tego jako wielce charakterystyczny obraz stosunków warszawskich w pierwszej połowie XIX-go wieku, przytaczamy tu główne z odpowiednich ustępów pomienionej książki wyjątki:

„Już przestawano o karnawale mówić, już post się kończył, a wielki tydzień wiernych po kościołach zgromadzał. Cała ludność Warszawy obchodzi groby, u stóp ołtarzy się modli; przykładne kwestarki idą w pomoc ubogim, a napełnione tace pieniędzmi świadczą, że się nie napróżno podjęły tej pracy. Tam sztuka złota, ów dar częstokroć próżności, rumienić się nieraz musi obok grosza, potem czoła zapracowanego, a ze szczerem ofiarowanego sercem. Tam niejeden dla pięknych oczu kwestarki więcej da, niż dać może. Ten dziesięć czerwonych złotych rzucił na tacę, aby o nim mówiono; ów nic nie dał po kościołach, kędy mieszczanki lub zakonnice kwestują, a księżnie sypnął garść złota; ten szewca, krawca nie zapłacił, a stuzłotowy papierek rozwija i hrabinie na srebrnej tacy u Kapucynów rozkłada. Ale obok niego stary żołnierz od weteranów przyszedł do kościoła o szczudle, co kilka groszy codziennego żołdu pobiera; zatrzymał się przed stołem kwestarki, z płóciennego woreczka dobył dwa grosze, z tych jeden złożył na tacy, drugi dał obok stojącemu uboższemu od siebie.

Błysnęły ogniem Pańskie przybytki, zagrzmiały działa, zatętniały dzwony, lud pobożny zaśpiewał: Aleluja!

W jednym z tych domów Warszawy, kędy różnorodność osób w nim kolejno zamieszkałych i wypadki wydarzone mogłyby posłużyć za rys dziejów ostatnich czasów; w jednym z tych domów, kędy złocone lamperje, mozaiki, marmury oparły się zniszczeniu i zagładzie, i zwycięskim zaborom brzęczącej arystokracyi XIX stulecia i doszły do nas żyjące wspomnieniami; w jednym z tych domów, kędy August książę Czartoryski, wojewoda ruski, że tak rzekę, panował, o którym Stackelberg mawiał: że od śmierci księcia Augusta nie masz przed kim zdjąć kapelusza w Warszawie; kędy mieszkała po nim córka jego, księżna marszałkowa Lubomirska, a po niej tejże córka Stanisława Potockiego, ministra oświecenia, małżonka; kędy w przelocie swoim przez Warszawę wstąpił Murat, książę Bergu; kędy arcybiskup mechliński, Pradt, snuł siatki dyplomatycznych intryg; kędy w 1815 hrabia Nowosilzoff krótko, a hrabia Witt, jenerał-gubernator Warszawy w 1831, nie dłużej mieszkali; w tym historycznym, że tak powiem, domu, hrabia M. w 1839 roku w dzień Zmartwychwstania Pańskiego dzielił się święconem jajkiem z własną rodziną, z przyjaciołmi, ze swoimi.

W środku długiego stołu, okrytego obrusem, wznosił się dawnym zwyczajem, na postumencie, baranek sztucznie wyrobiony z masła, z opartą na nim karmazynową chorągiewką. Wkoło niego, na srebrnych półmiskach spoczywały rozmaite mięsiwa, przyprawne na zimno, przystrojone zielonemi gałązkami. Dzicze głowy, szynki, kiełbasy, rozmaita zwierzyna i prosię, w zębach trzymające jajko, i indyk z nadzieniem, łosia i cielęca pieczeń. Ponad krańcami stołu, podobny do owego łańcucha odosobnionych warowni, któremi nowa strategja otacza obronne miasta, ciągnął się długi szereg bab oblanych cukrem, cykatą i konfiturami, a przewyborne placki, mazurki, marcypany — komunikację pomiędzy niemi ułatwiały.

Już goście zaczynali się zgromadzać, gospodarz z gospodynią domu, z każdym dzieląc się święconem jajkiem, Aleluja winszował, „bogdajby było lepiej“ życzył.

Przez czas niejaki tłum się coraz szerzył, coraz powiększał, a obszerny apartament hrabiego zaledwie objąć zdołał licznie zgromadzonych gości. Tam widziałeś biskupów, księży, pierwszych w kraju obywateli, urzędników, dawnych wojskowych, tam znalazłeś młodzież warszawską, spotkałeś się z artystą, profesorem, uczonym; tam zebranie dam poważnych obok naszych elegantek i licznego grona panien.

Stół okrążono dokoła. Ci jedzą, ci piją, niektórzy spacerują, wszyscy rozmawiają głośno, zaledwie jeden drugiego słyszy. Po niejakim przestanku ciżba rozrzadzać się zaczęła, rozpierzchnięta po przyległych salonach. Gwar się zmniejszył, a pozostałe w sali jadalnej towarzystwo małe obsiadło stoliki; poufalsze rozmowy się wszczęły. Koło pieca w wygodnych krzesłach kilku byłych wojskowych, pomiędzy nimi jenerał prym trzyma, obok nich eks-poseł ostatniego sejmu i profesor byłego uniwersytetu; przy nim konsul angielski dowodzi z kieliehem w ręku, że wino węgierskie lepsze nawet od portwejnu; pan szambelan zdanie jego podziela, a stary pan Wojski się cieszy, pan Wojski, co dziewiąty krzyżyk dawno już zaczął, ostatnia może żyjąca pamiątka konfederatów barskich.

Przy drugim stoliku młodzież, ta nadzieja przyszłości, warszawskie eleganty, szampańskie spija wino.

— Szkaradny zwyczaj święcone! — rzekł jeden z nich. — Człowiek się obładował i obiad u Marego przepadł.

— Mieli też przodkowie nasi co wymyślać! — odezwał się drugi.

— A wnuki co przechowywać — dodał trzeci.

— Ciszej panowie, — powtórzył pierwszy — bo jak starszyzna, czyli raczej starzyzna, usłyszy, to się krzywić będzie.

— Niech się krzywi jak chce; co prawda, to nie grzech. Żeby przynajmniej można było zrobić kilka turów ekarte!

— Gdzież tam! czy zapominasz, że w tym staropolskim domu nie znajdziesz kart na lekarstwo?

— Wiecie co? — zawołał jeden z nich, ziewając: — przybliżmy się do panien!

— Dajże pokój — odezwie się drugi: — wezmą nas za konkurentów

— To do mężatek.

— Uchowaj Boże: jedne za stare,

drugie za brzydkie, trzecie za rozumne, czwarte za cnotliwe.

„Przy pierwszym stoliku, gdzie spleśniała butelka węgrzyna po butelce następowała, żywa toczyła się rozmowa. Rozprawiano o wojnach, potyczkach, szturmach. Tu szwadron ułanów na armaty pędzi, piechota na bagnety idzie, tam baterja kartaczami pluje. Stary jenerał opowiada włoską kampanję, opisuje cuda waleczności naszych legjonów; drugi był w Egipcie, trzeci na wyspie San Domingo; ten odbył wojnę 1809, 12 i 13 roku, ów był świadkiem abdykacji Napoleona, tamten nakoniec na polach Waterloo odebrał chwalebną bliznę. Otaczający wkoło, z zajęciem słuchają; słuchają i młodzi i starzy, szambelan stracił liczbę wypitych kielichów, pan Wojski białego wąsa pokręca, Anglik serdecznie ściska Wojskiego za rękę; słuchają gospodarza córki, porzuciwszy grono panien: tam ich zatrzymywała grzeczność, a tu serce nęci. Rozmowa o wojaczce trwała, a węgrzyn wypoczynku nie dawał, węgrzyn, co duszę raduje i lepsze przypomina czasy. Wtem ochoczy gospodarz wstał z miejsca, porwał za kolejny kielich, chciał coś powiedzieć: łza mu się zakręciła w oku i... „Kochajmy się!“ zawołał. Cóż to za areopag kobiet obsiadł stół po drugiej stronie pokoju? Cóż je tak zajmuje? Moda. Cóż ich zazdrość wzbudza? Wyprawa. A. hrabiny P. Ta kryspin swój wychwala, ta swoją mantylę, ta swoje gipiury, ta brabanckie koronki.

Czemuż z drogich chwil zagubą
Człowiek pamięci nie traci?

W pierwszym pokoju, koło długiego stołu kilka jeszcze osób dojadało święcone. Stary nasz mistrz obrzędów, który czterech monarchów po kolei był szambelanem, spacerował wzdłuż i wszerz z dawnym pułkownikiem od inżenierów. Pułkownik roztargniony do każdego stolika się zbliżał, przerywał rozmowę, stukał kijem o posadzkę, a odkaszlnąwszy: *Ainsi va le monde!* — powtarzał. Mistrz obrzędów do każdej się panny uśmiechał, każdą w rączkę całował; nakoniec:

— Nie znałyście panie — rzekł do nich — naszej Zofji Zamoyskiej, owego bóstwa piękności i dobroci. Cała Warszawa, cała Polska przed nią klękała. Pamiętam, gdy raz, na jej imieniny, Morawski, Stanisław Plater, Maksymilian Fredro, Mostowski pisali arkuszowe wiersze i mnie zazdrość wzięła; natchniony moją boginią, która mnie swoją żabą nazywała, te do niej cztery wiersze palnąłem:

Gdy wszyscy opiewają dla Ciebie co czują,
Nie dziw się, że i głos mój do Ciebie przemawia:
Wszakże, kiedy konie kują,
I żaba nogę nadstawia.“

I tak dalej snuje zajmujący wątek opowieści swojej historycznej Bonawentura z Kochanowa.

Może pójdziemy jeszcze jej śladem innym razem, przy nadarzonej sposobności.

Dziś zakończymy tylko uwagą Leona hr. Potockiego, umieszczoną na końcu słowa wstępnego „Święconego czyli pałacu Potockich:“

„Minęły wieki, — pisze on — a tak, jak niegdyś znicz od pogan strzeżony, tak, jak pogańskie pamiątki od ludu przechowane, pielęgnujmy dawne przodków obrzędy; to, co weszło w zwyczaj, niech zwyczajem zostanie, a to, co było, cośmy od ojców zasłyszeli, lub sami jeszcze widzieli, przekażmy tym, co po nas przyjdą...“

—wxm.



Lhermitte. **Chrystus wśród ubogich.**

Wielkanocna pisanka
i jej pochodzenie.

Kiedy życząc sobie wzajem wesołego „Aleluja,“ dzielimy się jajkiem święconem, podanem przez polską gosposię, kiedy setki barwnych pisanek i strojnych jaj cukrowych, wabią oczy nasze, czyliż przyjdzie nam wtedy na myśl, jakich to zamierzchłych wieków wspomnieniem jest ów zwyczaj święcenia jaja i dlaczego właśnie jaje dostąpiło zaszczytu tego?

Wszystkie zwyczaje dawne, choć mało znaczące na pozór, choć przekształcone i spaczone z biegiem stuleci, są zazwyczaj szczątkami dawnych pojęć religijnych; kryją one w sobie symbol często głęboki, jakim starożytni wyrażać lubili tajemnice swej wiary. Lud ciemny zawsze czcił formę tylko zewnętrzną tych pojęć i fanatycznie do niej był przywiązany, więc też i formę tę zachował, choć myśl, co się pod symbolem tym kryła, przemieniła się powoli, innej poszukała sobie szaty i w nowych zmartwychwstała kształtach.

Trudną jest rzeczą zbadać, jakiego morza lub jakich wzgórz ziarnem jest cenny klejnot, który w spuściźnie z rąk do rąk przechodzi, tak trudno również dojść początku owych legend i baśni, tradycyi i zwyczajów ludowych, co przekazywane z pokolenia w pokolenie, ocalały w powodzi wieków i bądź przez wędrówki ludów, bądź przez wojny lub inne dziejowe przewroty, przeniesione zostały zdala od pierwotnego gniazda, na odległe świata krańce.

My, Słowianie, silniej i bliżej od innych plemion aryjskich związani ze Wschodem, tą prastarą kolebką naszą, tam też pod słońcem Indu lub Iranu, u stóp Libanu lub nawet na brzegach Nilu, szukać powinniśmy początku naszych legend i zwyczajów ludowych, tembardziej, iż w duszy naszego ludu tkwi silniejsze przywiązanie do starych tradycyi, do dawnych baśni i gusł, niż u plemion na Zachodzie osiadłych.

Otóż na całym Wschodzie jaje było symbolem wszechświata, początku stworzenia, obrazem elipsy: systemu planetarnego. Jedna z egipskich legend religijnych uczy nas, iż: „siła tworząca natury, czyli bóg Kneph, unosząc się nad chaosem, wydał z ust swych jaje olbrzymich rozmiarów, a w jaju tem powstało słońce, czyli ciepło rodzące, i dało początek wszelkiemu życiu.‟

Podobnym obrazem przedstawiają ludy dawnej Persyi stworzenie świata: Kiedy żywioły jeszcze z sobą bezładnie zmieszane były, wtedy Bóg tchnął na wody i powstała jakoby olbrzymia bańka mydlana, mająca *kształt jaja;* bańka ta prysła na dwie połowy i utworzone zostały tym sposobem wody górne i wody dolne, czyli atmosfera świat otaczająca.

Toż samo podanie znajdujemy wreszcie i w fenickiej Genezie: „Gdy duch życia i chaos zmieszały się z sobą, wtedy powstał namuł („mut‟) a „mut‟ miał kształt olbrzymiego jaja i z jaja tego powstało wszystko co istnieje.‟

Również buddyści, którzy wszechświat sam Bogiem nazwali, przedstawiają ów świat stworzony bądź pod postacią węża w pierścień zwiniętego, bądź pod postacią jaja, którego żółtkiem jest słońce, budzące pierwiastek życia w przyrodzie.

Już sama nazwa jaja na Wschodzie jest symboliczną. W starożytnym Egipcie zwano jaje: *Beidh,* po arabsku *Bed,* w Persyi *Badh* — co oznacza świat, istnienie, wszechwiedzę.

I nietylko symbolem ważnym było jaje na Wschodzie, ale występowało ono także, podobnie jak u nas, przy wiosennych świętach i uroczystościach. Na całym Wschodzie, jak się dowiadujemy z ksiąg dawnych i z hieroglifów, dni wiosennego porównania dnia z nocą obchodzono uroczyście jako dni zmartwychwstania natury lub przemiany w jej rozwoju i życiu.

Po dziś dzień nad morzem Czerwonem żeglarze arabscy nazywają dzień ten dniem zaślubin słońca i ziemi. W Egipcie zaś, w tymże samym czasie mniej więcej, bo w drugi dzień Wielkanocy, Koptowie, potomkowie dawnych Egipcyan, a za nimi i inni mieszkańcy Egiptu, obchodzą starożytne święto: „Szam-el-Nessim.‟ W dniu tym wszystko co żyje dąży na wieś lub do ogrodów, aby przed porą gorących wichrów (chamsinów) świeżem odetchnąć powietrzem. W domach nie wolno rozpalać ognia i gotować, więc też każdy zaopatruje się już pierwej w żywność, w kosze pełne mięsiwa, ciast i *jaj barwionych.* Jaja te zawieszają Koptowie nad drzwiami domów i nad oknami, gdyż mają one chronić od złych duchów. Lud bawi się jajami temi, rzucając je na siebie wzajem, lub ofiarowując je sobie w podarunku.

Podobnie w Albanii, w Bułgaryi, w Serbii, i na Wołoszczyźnie dzień 25-ty marca obchodzą jako święto wiosny, niezależnie od Wielkanocy i święta Zwiastowania. Dzień ten poświęcony jest duchom lasu i wody, a starożytny obyczaj każe go również spędzać na świeżem powietrzu. W domach wszystkie ognie muszą być



W. A. Bougereau. **Miłosierdzie.**

pogaszone i wszystkie garnki do góry dnem poprzewracane.

Jadło na dzień ten, już pierwej przygotowane, składa się z zimnej młodej baraniny, z jaj i ciast, przy których pieczeniu baby stare zamawiają rozmaite czary, wróżąc szczęście, urodzaj lub niedostatek.

Zaręczano mi, że wszystkie te zwyczaje są przypomnieniem dawnych pogańskich obrzędów, podobnie jak i spożywanie w dniu tym baranka rozpowszechnione na całym Wschodzie, zarówno między chrześcijańską jak i muzułmańską ludnością. W dniach bowiem wiosny ludy starożytne zwykły były składać bogom w ofierze pierworodne baranki oraz ziarno i inne jadła. Ofiary te skrapiano wodą, zaprawną wonnemi ziołami, część zaś mięsiwa spożywano.

Oto więc pierwszy początek naszego „święconego.“ Religia chrześcijańska zmieniła nieco zwyczaj przyjęty przez Mojżesza i odrzucając to, co pogańskie, połączyła z nim najświętszą wiary naszej tajemnicę. Krzewiciele chrześcijaństwa pojmowali to dobrze, iż nie należy deptać gwałtownie tradycyą uświęconych zwyczajów, z którymi lud zżył się duszą i sercem. Na tych więc szczątkach starożytnych pojęć, jakby na pniu dawnym, wyrastała latorośl nowych idei, rozwijała się szczytna symbolika chrześcijańska.

My zaś dziś na północy symbolicznego baranka zamieniliśmy na — smaczniejsze i przyjemniejsze kiełbasy i szynki; tylko jaje wielkanocne, nasza krasna pisanka pozostała i pozostanie starożytnego świata i dawnych symbolów wspomnieniem.

A. Neumanowa.

Dyngus.

Plusk! plusk! wedle studni:
Wedle studni!
Żuraw skrzypi, po cembrzynie
Wiadro dudni!
Dookoła
Naród z sioła
Ze trzy „mendle“
Abo ludniej!
Jaki taki za swą dziewką,
Ten z sikawką, ów z konewką,
Co uchwyci, co ułapie,
To z dziewuchy aże kapie!

Plusk! plusk! u koryta,
U koryta...
Korba chodzi, zdrój bełkocze,
Łańcuch zgrzyta!
Kole kłody
Struga wody,
„Każdy“ leje,
Nic nie pyta!
Stach „podujął“ wpół Marynę
I wiedzie ją pod cembrzynę!
Józek „zcapił“ za półwiadrze,
Chlusnął Zośce za zanadrze!

Plusk! plusk! wedle stoku,
Wedle stoku,
Bo to „dyngus“ wielkanocny
Raz do roku!
Niema szkody
Z czystej wody,
Z czystej, jako
Ta łza w oku!
Nie zatopi rzeka cała,
Byle jeno pierś gorzała!
Nie zamrozi sto strumieni,
Gdy się serce rozpłomieni!

El.



Dyngus.

Baby.

(Humoreska wielkanocna).

Pan Kalikst Furda mimo, że był tylko prywatnym sekretarzem, pozwolił sobie na taki luksus, jakim jest bezwarunkowo 6 córek (każda o rok starsza), z których wszystkie były już pannami na wydaniu. Posagu nie miały, bo nie miały, ale za to buzie jedna w drugą wypisz, wymaluj, jak ananasy. Dziwna to była rzecz istotnie, że mimo niefortunnego wyglądu pnia rodzimego, inaczej rzekłszy: mimo kłującej oczy brzydoty mamy dobrodziejki pani Hildegardy takie urodziwe zdobiły go latorośle, pełne rozkwitłego i wonnego jak wiosna pękowia. Kręciło się też koło tego maju mnóstwo chciwego onego miodu stworzenia, ale pan Kalikst baczne na córki zwracał oko, trutniów odganiał bez pardonu, a na przyzwoitą odległość pozwalał tylko przybliżać się *chlebowcom* t. j. takim urzędnikom, którzyby żonę, bez zaciągania zbytnich długów (bez których żaden urzędnik przecież obyć się nie potrafi), utrzymać mogli.

Tak stały rzeczy, kiedy nadeszły Wielkanocne święta. Pan Kalikst życie codzienne wiódł skromne, ale na Wielkanoc to już puszczał folgę kieszeni i pozwalał dziewczętom napiec, co się im podobało. Bo też i trzeba było dosyć przyładzić dla tylu gości, którzy nawiedzali dom państwa Kalikstów. Prawdę rzekłszy to i pan Kalikst także nie tylko dla tego lubiał brać udział w *święconem*, by się z przyjaciółmi wycałować z dubeltówki, ale z miłą chęcią dawał sobie też w tej porze łupnia, jak się patrzy, ze względu, iż takie wielkie święto godnie uczcić potrzeba.

Ot, właśnie teraz wracał do domu, prowadząc za sobą, jak pułkownik, cały szereg podochoconej młodzieży, która się koło starego kupiła, rada, by przez względy ojca wejść do serduszek córek. Nawiasem rzekłszy, miał pan Kalikst już dla każdej *upatrzonego*, tak, że gdyby chciał, to mógłby był dziś wydać wszystkie po kolei.

Ale pan Kalikst miał inne cele na oku. Irytowało go to mocno, że będzie musiał dla każdej urządzać zrękowiny i wesele. Ta ewentualność życie mu truła.

W tem przyszła mu do głowy myśl! cudowna myśl!...

— Stójcie! zawołał głosem komendy do młodzieńców. Lubicie wy *babu?*

— Jeszcze jak! krzyknęli wszyscy chórem.

— Kiedy tak, to postanowiłem każdemu z was, których, za szczerych przyjaciół uważam, dać dziś do domu ze święconego jedną *babę* na własność. Zatrzymajcie się tu chwilę przed drzwiami.

Rzuciwszy te słowa, wszedł pan Kalikst pierwszy do domu i rozkazującym tonem rzekł do zdumionych córek.

— Maryna, Stacha, Janka, Józka, Frania, Hela — wyłaźcie mi tak jak stoicie zaraz na stół ze *święconem.*

Córki wiedziały, że ojcu sprzeciwiać się nie wolno, bo był w domu despotą, więc natychmiast powyskakiwały na obrus zwinnemi nóżkami.

— Czy ja mam także wyleźć — spytała żona.

— Pal djabli — skacz i ty stara.

Teraz pan Kalikst otworzył drzwi i huknął.

— Chłopcy wchodzić!!!

Młodzież zdumiona weszła, a p. Kalikst do nich.

— Bierzcie na własność *baby* każdy swoją — daję ryczałtem swoje błogosławieństwo.

Dziewczęta powskakiwały w objęcia wybranych i radość była ogromna.

— A cóż się ze mną stanie? pytała zażenowana jak pomidor pani Hildegarda.

— Słuchajno bracie, rzekł wtedy pan Kalikst do kolegi sekretarza, starego kawalera, który stał na boku i z miną Tantala przypatrywał się rozkosznej scenie — możebyś ty wziął moją starą?

— Przepraszam — syknął wściekły sekretarz — to jest baba już dobrze nadpoczęta; zatrzymaj ją dla siebie.

Kazet.



C. Kiesel. **Pieśń wiosenna.**

Ludwik Stasiak.

W zapadłym szybie.

11 Powieść z życia górników.

Z rysunkami Józefa Ryszkiewicza.

(Ciąg dalszy).

Coś ty matko mówiła?

— Marysia cię niegodna...

— Ja zaś...

Milczenie wielkie, że słychać szelest obijających się o siebie suchych liści jawora. Ujął ręce starowiny górnik i rzekł:

— Ja pojmę twoją Marysię.

* * *

Tęsknota w duszy, nienawiść w sercu. Tęsknota za tym, którego całą duszą ukochała, nienawiść do człowieka, nienawiść tem większa, że trzeba przyjaźnie na niego patrzeć, na miłość jego kłamstwem odpowiadać. Matka nań czule patrzeć każe, matka przyszły, znienawidzony ślub każe uważać za szczęście, za łaskę...

Chwila nadziei w duszy. Może zjawi się ukochany, może ją wybawi. A gdyby ją z ohydnego jarzma wybawić nie chciał, to niechże go choć oczy ujrzą, niechże widokiem drogim nasycą się spragnione jej źrenice. Żywiołowym pożarem miłości serce płonie, pragnienie niezmierne za wybranym. Choćby ją miał odtrącić od siebie, choćby miał odegnać...

Co się z nim stało?! Bóg jeden wie. Jedni mówili, że w przepaściach żupy go zabito, inni mówili, że zabłąkał się w ciemnościach i zginął. Zabłąkał się, skonał głodową śmiercią. — Szukali go długo po nowych działach, po starych działach szukali. Szukali po pustkach, gdzie za Piastów sól kopano, wreszcie szukać zaprzestali.

Bo starejszy i Józef zaświadczyli, że na oczy widzieli, jak opuścił żupę, jak wyszedł na świat. Widzieli go na drodze do Krakowa...

Gdzież ona nie była, gdzie ukochanego nie szukała! Dworzanie Radziejowskiego w Sączu byli, Maryś się tam wybrała, pytała się w Krakowie, gdzie za nim droga, gdzie jego ślad. Dowiedziała się, że nikt o nim nie wie, usłyszała pogróżki, że IMci pan Radziejowski będzie się mścić na łykach za swego sługi śmierć. Byłbyś się pomścił, panie Radziejowski, gdyby nie to, że na ciebie pierwej spadła słuszna pomsta. Boś przez sąd marszałkowski za rozbój na śmierć skazany, uciekł, ogłoszony infamisem i banitą.

Wróciła Marysia do domu i z rozkazu matki przyjaźnie w oczy górnika patrzyła. A w tych oczach znalazła podejrzenie...

. . . .

Starodawnym gwarectwa obyczajem we wilię Bożego Narodzenia całe miasto rankiem do żupy schodzi. Żony górnickie i dzieci górnickie. Od wczesnego ranka roją się tłumem ludu szyby, ślągi w przepastny szyb ludzi zwożą, próżne wracają, aby nowych zabrać. A komu pilno w drabiny leci. Szyb ma sto drabin. Cały szyb, to jeden wielki ludzki korowód. Tysiąc zeszło, tysiąc ludzi po niezmiernej żupie się rozsypało.

Marysia dziś dziwnie dla górnika dobra i czuła. W oczy jego patrzy, w pięknych jej oczach przyjaźń i miłość. Te oczy jeszcze nigdy tak życzliwie, tak poczciwie na niego nie patrzyły, takiej dobroci nigdy w źrenicach dziewczęcych nie czytał. Poświeca jej kruszak kagańcem, drogę pokazuje.

— Tędy, moja Maryś!

— Za światłem idę.

— Nie uderz o calizne głową!

— Wszak mam ciebie, zginąć mi nie dasz.

— Nie pośliźnij się na wyboju, bo nieszczęście...

— Gdyś ty jest przy mnie, nieszczęścia się nie boję.

Zatrzymał się górnik, usta się rozchyliły.

— Tyś nigdy Maryś tak przyjaźnie do mnie nie mówiła.

— Dziś mówię.

— Dobrego słowa z twoich ust nie słyszałem...

— Dziś słyszysz.

— Jako wiosenka śmieją się twe oczy, jako głos skowronka w kwietniu dźwięczy mi twój głos.

— Dziwisz się temu?

— Dziwię.

— Wszak po Godach nasze wesele!..

. . . .

Zbliżył się górnik do dziewoi, ujął ją w ramiona... Pierwszy raz w życiu go nie odpycha, pierwszy raz go nie odtrąca, sama do niego się chyli. Szczęście bezmierne rodzi się w sercu, w jestestwie celem szczęście...

Miłość! Oh! Goreje płomieniem, strasznym, a przecie prosta dusza robotnika czuje, że to nie dawne uczucie, które na widok białego dziewczęcia się zrodziło. Dawniej zbliżał się do niej jak do świętej, majestat jakiś był w tej czystej istocie, cześć jakaś wielka, cześć taka, która chyliła głowę do wybranych stóp. Gdy ona panieński obraz Najświętszej Panny nosiła, to wśród białych dziewcząt wydawała się jakby ubłogosławiona tą świętą ręką, w której błyszczała lilia.. I wzrosło w sercu uczucie bez granic, czyste, nie było na niem skazy, ni plamy...

Dziś...

To wspomnienie policzkuje. To wspomnienie od niej odpycha. Wszak ona sama wydała wyrok... Ona niegodną jest, aby obraz Przeczystej Dziewicy złożon był na jej ramieniu. Wszak on w okropną noc letnią widział.

A przecie to ta sama Maryś. Ona piękniejsza teraz. Tysiące ponęt, niezmierna potęga wdzięku i urody. Oczy prześliczne na górnika patrzą, lice zakwitłe różą... Przecie to ta sama, bez granic kochana, bez granic pożądana, choć inna miłość. Do tej dawnej, czystej miłości dodano jadu żmijego, jadu wspomnień. Ten słodki napój z szalejem zmieszany....

Myśl ta trwała minutę. Kropla jej była a morze zachwytu i pożądania. Przecie to Maryś, ta sama. Kwitnie urodą, jaśnieje wdziękiem, ponętą. A gdy przytulił ją do siebie, zapomniał o



V. Reggianini. **Do widzenia.**

truciźnie, o świecie, o własnej duszy. Szczęście, tylko szczęście...

— Miłam ci?

— Jako powietrze, jako życie samo.

Patrzała przyjaźnie w oczy górnika i pyta się:

— Powiedz mi, gdzie się podział pisarz?

Odepchnęło Józefa od dziewczyny, wpatrzył się w jej lice...

— Wspominasz go?

— Wspominam.

— Niechże jego pamięć przeklęta będzie!

— Niech pamięć jego zaginie! — rzekła z mocą dziewczyna.

— Ty tak mówisz?

— Mówię! Bo go nienawidzę!! Całą duszą nienawidzę!!

— Strać go z pamięci.

— Chciałabym całą duszą moją.

— Jak to? Nie możesz?

— Jako zmory we śnie nie zegnasz bezsilny...

— Myślisz zatem o nim.

— Myślę, bo się boję.

— Czego się boisz

— Jego pomsty.

Poleciały powieki górnika do ziemi, rzekł cicho:

— Nie bój się.

A Marysia... Ona wszystkie siły duszy ma w oczach, wpatrzonych w Józefa, dech wstrzymała, pochyliła się w gorączce ciekawości... Powieki jego wstyd i wyrzut zamknął, głos jego drżał, on takim trupim głosem rzekł jej: nie bój się. Jakby połowa tajemnicy z ust jego wyrwana. Wydrzeć resztę, z życiem wydrzeć.

— Chodźmy ztąd — rzekł górnik.

Dziewczyna lice miłości kłamstwem pomalowała i zapytała czule:

— Źle ci przy mnie?

Oh, ten głos dziewczęcy! Jakoby kwietny wiatr lata powiał. Uśmiech niesie, szczęście niesie.

— Pytasz się Maryś, czy mi źle? I ty się dziewczę pytasz?

— Iść ztąd chcesz?

— Wiatr wilgotny ciągnie, światło kagańca się chwieje, mokry szyb czuć.

— Szyb w pobliżu?

— O sto kroków. Opara zaskórnych wód... Idźmy więc ztąd.

— Prowadź mię, mój drogi.

. . . .

Jako powój dziewannę, tak ona białemi rękami ogarnęła jego szyję i pyta się:

— Powiedz mi, gdzie się podział pisarz?

Znowu odruch niechęci, odrazy, wstrętu.

— Czemu się ty o niego pytasz?

— Bo się boję!

— Jakto?

— Im, Józefie, bliżej ciebie, serce moje, tem większy w sercu strach...

— Nie bój się, mówię ci.

— Próżne słowo...

— Nie próżne.

— Gdy się dowie... pomsta...

skim gmachem, ten gmach w tej chwili się zapadł. Mało nie szaleje, nogi biegną ku solnej skale... upadła na nią, utopiła głowę w dłonie.

— Co ci to Maryś.

— Nic.

— Odstąpiłaś odemnie.

W piersiach wre wszystko i kipi,



Przed dworcem w Szanhaikwanie.

Od wojny chińskiej fortyfikacye portowe w Szanhaikwanie zajęte są przez wojska europejskie i japońskie, które też pełnią obowiązki straży bezpieczeństwa w porcie i na dworcu kolejowym. Często zdarza się, że straż rosyjska spotka się tam z japońską; dotychczas nigdy nie przyszło do zatargów, ale obie strony spoglądają na siebie wyzywająco, co ogólne budzi zaciekawienie.

— Drwij z jego pomsty.

Łacno mówić: drwij. Za nim prawo, za nim moc, nam biednym prawa nasze dziś wydarto...

— Bądź spokojna.

— Nigdy spokojną nie będę.

— Ufaj mym słowom.

— Wyrwij z duszy strach!

— Jeślić mówię: nie bój się.

— Widzisz, Józefie, jakiś ty niedobry?!

— Czego żądasz odemnie?!

— Jedno mi powiedz, jedno, twej oblubienicy twej narzeczonej...

— Co chcesz wiedzieć

— Czy on żyje?

— On?! Nie.

Jakby serce krwi ciału posłało. Kolana się chwieją. Czuje, że z jej lic ucieka krew. Zachwiała się na nogach. Myśl zamarła. Jakby się zapadł świat, jakby nadzieje z niebios runęły na ziemię. Marzenia jej były królew-

przez usta pożar serca się nie przedrze. Rzekła spokojnie:

— Zmęczonam drogą.

— Spoczniesz?

— Spocznę.

Cisza. Cisza, bo ludzkie ucho niezdolne słyszeć burzy, która wyje w ludzkiej duszy. Tam minęła już żałoba. Żałoba jako poczwarka. — Z poczwarki żałoby wyszedł płomienny motyl pomsty. Kto pisarza zabił? Kto?! Jeśli Józef... O! motyl pomsty okropny, potwór pomsty... Trzeba się przekonać, dowiedzieć się....

Długo spoczywa, aby nabrać sił. Trzeba lica miłością nastroić, trzeba zaciśnięte gniewem usta okrasić miłości śmiechem. Jako błazen króla jegomości na zawołanie śmieje się i tańczy, tak na zawołanie trzeba wdziać na się błazeńską opończę, serca i uczucia...

Siła jest w sercu, wielka moc i siła.

Zjawiła się w świetle kagańca,

śmieje się do ukochanego. Ten spostrzegł bladość.

Jako giezło twe lice.

— Zmęczyła mię żmuda i droga.

— Wrócim na świat?

Zaśmiała się jako niebo barwą habrów się śmieje.

— Źle ci tu ze mną?! Tuśmy sami... Źle ci tak?

— Nie Maryś. Niebem mi te czarne otchłanie...

— A chcesz iść?

— Chcę zostać!!

Złożył kaganiec na urwistym samorodzie i ujął w objęcie dziewczynę. Zbliżył się do jej ust, oddech jej ciepły uczuł na twarzy, ciągną te malinowe usta i ciągną...

(Dokończenie nastąpi.)

Na wschód.

Kazano im — więc poszli w kraj groźny, —
[zasłany
trupem pobitych, ścierwem, zgliszczy
[rumowiskiem;
nad nimi orły obce, — ćmione broni błyskiem
powiodą ich w grób straszny — w wspólny grób
[nieznany.

Przygrywa im muzyka, biją tarabany
a śmierć kosiarka lud w dysze nad
[ścierniskiem
zżętych pól, głodna, — koby niesyta
[igrzyskiem —
nowym wszak oni plonem uścielą jej łany.

Czemuż ich celem owa — zatracenia droga
i czemu kość ich żyzna ma tam bieleć — Panie?
Jeśli ten posiew pada w obcą ziemię — wroga,

nigdy zeń plonu ziarno kłosem nie powstanie —
a u nas gorze! — Kiedy głód stanie u proga,
Może nam własnych kłosów zabraknie na łanie.

Poznań, 6. 4. 1905. *W—ski.*

„Zaprzedani“ Rusini.

„Gaz. Tor.“ pisze:

W piątek, dnia 7 b. m. przyprowadzono do naszego biura trzech Rusinów z Galicyi, którzy przybyli do wicekonsulatu rosyjskiego na skargę z powodu krzywd, jakie im się dzieją na pewnym niemieckim folwarku w W. Ks. Poznańskiem. Oczywiście wicekonsul rosyjski nie mógł zająć się biedakami, wypadło więc radzić się im prywatnie i wysłać pisemne zażalenie do konsulatu austryacko-węgierskiego w Gdańsku.

Rusini byli delegatami partyi robotników ruskich, złożonej z 52 osób, a przybyłych od Sokala w Galicyi z przodownikiem Janem Lozińskim z Sokala na czele. Loziński również należał do delegacyi. On i jego towarzysze opowiadali, co następuje:

Zwabiono nas do ruskiego biura stręczeń, w którem był także ksiądz ruski. Zjechało się kilka tysięcy Rusinów, którzy nocowali w chlewach, leżąc pokotem, w ścisku i zaduchu, mężczyźni i niewiasty razem. Przedłożono nam do podpisu kontrakt drukowany po rusku i niemiecku. Według umowy mieliśmy mieć wikt dostateczny, mieszkanie zdrowe, osobne dla mężczyzn i osobne dla niewiast. Praca do ks. Mitrata, ale do tej pory nie mamy odpowiedzi. Nie chcemy pozostać tam, gdzie obecnie jesteśmy. Pragniemy wrócić do Galicyi i żądamy, żeby nas tam dotąd odesłano. Ruski ksiądz nas zaprzedał. Polskie biuro, przez które w dawniejszych latach otrzymaliśmy pracę, nigdy nas nie zawiodło.

Tak opowiadał Jan Loziński, a towarzysze jego potwierdzili tę opowieść.



Trąd w Maroko.
Do rozmaitych kłopotów, nawiedzających krainę marokańską, przyłączyła się choroba trądu. Pod miastem Fez urządzono dla chorych obóz oddzielny. Żyją tam osłonięci przed wzrokiem ludzkim, a utrzymują się z jałmużny, składanej przez litościwych Marokańczyków.

miała trwać od 5 zrana do zachodu słońca. Płacę oznaczono dla dorosłych mężczyzn 90 fen. dziennie, w żniwa 1 markę dziennie, dla parobczaków i niewiast 70 fen., a w żniwa 80 fen. dziennie. Niepodobał nam się ten kontrakt, ale podpisaliśmy go, bo ksiądz ruski powiedział nam, że w przeciwnym razie możemy czekać i kilka tygodni na robotę. Ale i tego kontraktu nam nie dotrzymano. Pan, do którego przybyliśmy, daje nam żywność niedostateczną (funt ryżu, funt mąki, funt mięsa i 25 funtów kartofli tygodniowo), mężczyźni i niewiasty nocują razem, pracować trzeba po zachodzie słońca tak długo, aż jeden drugiego nie widzi, młode dziewczęta i chłopcy zmuszeni dźwigać ciężary nad siły. W skutek nadmiernej pracy, wskutek zimna, które w tych stronach panuje, sypiając w niezdrowym, wilgotnym lochu, prawie wszyscy ludzie zachorowali na kaszel. Niektórym popuchły gardła. Wskutek osłabienia nikt nie jest zdolny do pracy, Doktora pan przywieźć nie chce. Telegram do biura, które nas przysłało, nie odniósł skutku. Pisaliśmy do Galicyi

Podajemy powyższe szczegóły bez wszelkich komentarzy, w nadziei, że za pośrednictwem gazet dotrą aż do chat bratniego ludu ruskiego w Galicyi i staną się przestrogą przed nieopatrzną wędrówką po świecie. Trzeba bowiem wiedzieć, że to nie po raz pierwszy wypadało nam zajmować się pokrzywdzonymi robotnikami ruskimi z Galicyi. Może też austryacko-węgierskie władze pomyślą nareszcie o ustanowieniu w Toruniu wicekonsulatu, żeby mógł zająć się losem nie tylko robotników rolnych, lecz także flisaków, którzy tu często krzywd doznają.

Że lud ruski tłumnie garnie się do Prus za robotą, nie dziwimy się wcale, bo Loziński pozostawił nam nieoceniony dokument w postaci drukowanego w języku małoruskim piśmie ulotnem z napisem: „Chto chocze maty hroszy, nechaj ide do Prus na robotu!“

To znaczy po polsku: Kto chce mieć pieniądze, niech idzie do Prus na robotę!

Pismo przepełnione świetnemi obietnicami, zdobi wizerunek Rusina, unoszącego w ręku i pokazującego czytel-

nikowi duży wór z napisem: Hroszy!

Jako nakładczyni podpisała się na tym druku redakcya ruskiego pisma „Swoboda.“ Nie pojmujemy, jak Rusini mogą pozwolić, żeby pismo ruskie popierało podobne łapichłopstwo, pchając poczciwy lud ruski na niedolę i zatracenie.

Dla głodnych rodaków w Królestwie.

Podaliśmy w ostatnim numerze „Pracy“ wyjątki z odezwy ks. dra Wł. Bandrowskiego, kanclerza księcia-biskupa krakowskiego, wzywającej do składek na rzecz naszych Rodaków w Królestwie. Dziś odezwę tę, która wszędzie, gdzie biją serca polskie, głębokie wywarła wrażenie, podajemy w całości z opuszczeniem już zamieszczonego ustępu:

„Jak okręt wobec nadciągającej burzy, tak społeczeństwo nasze stanęło wobec chwili pełnej grozy i przełomowego znaczenia. Huragan już się zerwał; pędzi od Wschodu, śląc ku nam echa swych gromów i jęk swych ofiar. Tam — tysiące trupów i tysiące wśród męk konania wijących się istot ludzkich, braci naszych z krwi i kości — a bliżej nas, jak długie i szerokie Królestwo Polskie, głód i nędza, chwytająca w swe szpony osierociałe po mandżurskich bojownikach ofiary.

Zamęt ogólny powiększa grozę położenia; zda się, że wszystkie potęgi złego uderzyły w nieszczęsną pogruchotaną nawę Ojczyzny naszej.

I wiekowa niedola i obecne bóle i wszystkie protesty długo gnębionych dusz i przedwczesne nadzieje i przewrotne podszepty niecnych kusicieli, wszystko to łączy się w jeden tragiczny chór, którego ci chyba nie słyszą, którzy na wszystko, co polskie, zamknięte mają uszy i serca.

30,000 szeregowców, 1000 oficerów polskich padło na polach bitew w krótkim przeciągu czasu! Oto, co podają ostatnie raporty. A któż policzył jeńców? kto leżących po lazaretach wojskowych? kto tych, co kalekami lub z podciętem na zawsze zdrowiem wracają w natłoczonych wagonach pod rodzinne strzechy?!

Przed kilku miesiącami w jednym z dworków litewskich staruszka matka we łzach i modlitwie oczekiwała wieści od miłego syna, porwanego na Wschód daleki. Nagle otwierają się drzwi, wchodzi kilku ludzi, niosąc jakiś dziwny ciężar. Wstała — spojrzała. Kadłub żyjący, straszny, przerażający, bez nóg — bez rąk.

— Boże! — jękła. — To syn mój!

— Padła nieszczęsna i nie wstała więcej.

Na tem nie koniec obrachunku. Toć jeszcze tysiące braci naszych pozostało w szeregach — dziś żyją — jutro może już ich nie będzie; jednych głód, choroba — drugich kartacz armatni wyrwie na zawsze krajowi i rodzinie.

Na 900,000 zagnanych na kraniec świata, 30 procent ma być naszych! Tym setkom tysięcy ileż to odpowiada rodzin osierociałych, pozbawionych swych podpór — głowy — opieki!... ileż to rodzin wtrąconych przez to w przepaść nędzy i bólu?

Gdy pożar w teatrze pochłonie paręset ofiar ludzkich, gdy szyb kopalniany zasypie kilkudziesięciu robotników, jakież budzi się współczucie?... Cóż dopiero, gdy trzęsienie ziemi, jak w Zagrzebiu, kilka tysięcy o śmierć przyprawi, a kilkadziesiąt pozbawi dachu i mienia?...

Nie tak dawne to czasy; pamiętamy, jaki oddźwięk znalazła ta katastrofa w sercach polskich, pamiętamy, jak odwoływano się do naszych uczuć plemiennych, jak popłynęły wśród nas składki na pobratymców słowiańskich, ciężką dotkniętych klęską. Ale czyż dla tego, że kataklizmem przyrody spowodowana i w jednym dniu dokonana klęska owa w skutkach swych gorszą jest od tej, co w ciągu roku dziesięćkroć większe czyni spustoszenie i na nierównie większym obszarze głęboką pozostawia bruzdę?... A potem! Jakkolwiekbądź, toż to byli tylko nasi pobratymcy! A tu bracia nasi — najbliżsi nasi!

Sąsiad, któryby na palącą się o miedzę zagrodę patrzał z założonemi rękoma, nie pospieszył na ratunek — mąki na chleb lub paszy dla bydła bratu nie udzielił, byłby okrzyczany za ohydnego samoluba. A gdzież to owa Kongresówka? Gdzież ten Wołyń? Ta Litwa, tak strasznie odczuwające konwulsyjne drgania tego spruchniałego kolosu, do którego je przykuto?

Wszak to o miedzę tylko! Wszak ta granica, która ich losy od naszych odcina, ręką wroga pociągnięta? Mielibyśmy naszą obojętnością zaświadczyć, że już nie ma narodu polskiego, ale tylko trzy dzielnice, w których jeszcze mówi się po polsku, ale się po polsku nie czuje?

A jednak! Gdy w Prusach była znana sprawa wrzesińska, jednym chórem zaprotestowały przeciw temu dwie drugie części Polski i nie szczędziły grosza na poratowanie ofiar. Czyż dla tego tylko, że sygnał do tego chóru i do tej ofiarności dał głos wymowny i godzien naprawdę posłuchu?...

. . . .

— I nasza Galicya biedna!...

Ale przecież w chwili obecnej nie tak tu ciężko, jak tam!

Galicya biedna! A dziś, na 3 tygodnie przed Wielkanocą myśli się już o suto zastawionym stole... Rodacy! Czyż trwonić będziemy dziesiątki koron na „święcone,“ podczas gdy tam o miedzę chleba nie mają?

Nie mówmy, że własną mamy nędzę! Czyż tamta obca? A kiedyż lepsza, kiedyż bardziej nagląca nasuwała się sposobność stwierdzenia naszej narodowej jedności?

Rzucam myśl. Odwołuję się do serc współbraci. Znaleźć drogi i sposoby, to zadanie ludzi dobrej woli! Niech się potworzą komitety! Niech się zorganizuje po wszystkich miastach, miasteczkach i wioskach naszych akcya ratunkowa dla rodzin polskich, w Królestwie i na Litwie przez wojnę w nędzę i głód pogrążonych, a ta akcya miłości wspólnej i współczucia dla rodaków drugiej dzielnicy niech obejmie kraj cały!

Do serc prawdziwie polskich, to znaczy, do serc związanych z całą naszą narodową przeszłością, siłą religijnych przekonań i tradycyi zwracam się w obecnej chwili, w przededniu Wielkiejnocy. Gorąca również prośba do P. T. Redaktorów pism naszych polskich w Galicyi o otwarcie listy składek na rzecz głodnych rodaków.

Chwila jest przełomowa. Kto wie, czy jak zejdzie słońce po burzy, czy i na braci naszych z tamtej strony nareszcie jakiś jaśniejszy nie zaświeci promyk!... Baczmyż, ażeby wówczas nie odezwały się do nas głosy:

Nie znamy Was! Wyście nam nie bracia, bo w czasie klęski i nieszczęść wyście nam dali z głodu umierać. Wyście o sobie tylko myśleli, a do nas braterskiej, pomocnej nie wyciągnęli ręki!

Kraków, 4-go kwietnia 1905.

Ks. dr. Władysław Bandurski.“

* * *

Do powyższej odezwy przyłączamy się całem sercem. W Królestwie a specyalnie w Warszawie zapanowała istotnie na skutek wojny i innych wypadków, o których często pisaliśmy w „Pracy,“ straszliwa nędza, nie dająca się po prostu opisać. Jest to faktem zupełnie autentycznym, że codziennie warszawskie pogotowie ratunkowe zabiera z ulicy biedaków, osłabionych przez głód, chcących jednak pracować, a pracy nie znajdujących.

Takiej nędzy choć w części ulżyć jest świętym obowiązkiem każdego Polaka, a tem bardziej Polaków, żyjących pod berłem pruskiem, zważywszy, że Królestwo z Warszawą na czele za-

wsze hojną miało rękę dla naszych potrzeb i gorąco odczuwało nasze bóle.

To też nie wątpimy, że odezwa ks. dra Bandurskiego poruszy wszystkie serca Polaków w kraju i na obczyźnie.

Nadchodzące na ten cel składki ogłaszać będziemy w „Pracy" i wysyłać do Warszawy.

Dotychczas złożyli na powyższy cel do dnia 18-go bm. włącznie pp.: Andrzej Maślanka, organista z Morzewa 10 mk. Michałek z Morzewa 1 mk. Dalsze datki jak najchętniej przyjmować będziemy i spodziewamy się, że przy święconem nie zapomną Czytelnicy nasi o głodnych braciach w Kongresówce. — Prz. Red.

Wiadomości.

— **Składkę** na rok 1904 nadesłały do kasy Komitetu prow. wyborcz. powiaty: 1) śremski. 2) poznańsko-wschodni, 3) czarnkowski, 4) ostrowski (2 raty) 5) mogileński, 6) gnieźnieński, 7) chodzieski, 8) wągrowiecki, 9) kępiński, 10) pleszewski, 11) gostyński, 12) szubiński, 13) żniński, 14) grodziski, 15) śmigielski, 16) międzychodzki, 17) koźmiński, 18) odolanowski, 19) rawicki, 20) nowotomyski, 21) średzki, 22) miasto Bydgoszcz, 23) miasto Poznań 24) strzeliński, 25) poznańsko-zachodni, 26) kościański, 27) jarociński, 28) ostrzeszowski, 29) bydgoski, 30) obornicki, 31) inowrocławski, 32) babimojski, — Zalegają ze składkami za rok 1904 powiaty: 1) wrzesiński, 2) krotoszyński, 3) witkowski, 4) wschowski, 5) leszczyński, 6) międzyrzecki, 7) skwierzyński, 8) szamotulski, 9) wyrzyski, 10) wieleński.

Poznań, dnia 14 kwietnia 1905 r.

M. Więckowski, skarbnik Kom. prow. wybor, ulica Teatralna nr. 6.

— **Panowie Karol Rzepecki i Zaworski** zaprosili w marcu r. b. w niedzielę kupców i wiekszych przemysłowców na poufną pogadankę celem naradzenia, omówienia i powzięcia uchwał, jakie stanowiskó zająć wobec odezwy hakatystów ogłoszonej w tutejszych pismach niemieckich, wzywającej do bojkotu polskich kupców. Zaraz na samym wstępie komisarz rewirowy p. Günther rozwiązał zebranie jako policyjnie niezameldowane, mimo protestu p. K. Rzepeckiego, a król. prokurator wytoczył przeciwko wzmiankowanym panom postępowanie karne o przestąpienie przepisów odnoszących się do publicznych zebrań. W ubiegłym tygodniu sąd ławniczy mimo świetnej obrony mecenasa-posła p. Chrzanowskiego, skazał p. K. Rzepeckiego na 30 mk. kary a p. Zaworskiego na 15 mk. i wspólne poniesienie kosztów, za zwołanie zebrania bez wiedzy i zezwolenia policyjnego. Osądzeni odwołają się do wyższej instancyi.

— **Pan Teofil Lemke** z Chełmna, zdał w dniu 3-im b. m. egzamin na *inżyniera kultury* w berlińskiej akademii agronomicznej.

— **Składkę** na rzecz weterana z roku 1863-go niniejszem zamykamy. Kwotę na ten cel złożoną w ilości 32 marek wypłaciliśmy komu należy, a ofiarodawcom składamy w imieniu weterana staropolskie: Bóg zapłać.

— **Do pp. doktorów-rodaków.** W Włoszakowicach (Luschwitz) pow. wschowski, gdzie komisaryat, poczta, stacya kolejowa, dwa kościoły etc. osiedlić się może doktor Polak i liczyć na świetną egzystencyą. Poprzednik, który mimo braku doświadczenia, długie lata cieszył się ogromną praktyką, zmarł przed tygodniem, więc hakata chce nas koniecznie uszczęśliwić Niemcem. — Okolica bogata, gęsto zaludniona a wyłącznie polska i od miasta odległa, daje wszelką gwarancyą bytu. — Łaskawe spieszne zgłoszenia nadesłać prosimy do Redakcyi „Pracy".

Pisma interesujące prosimy o łaskawe powtórzenie powyższego.

— **Pan Płotkowiak**, dawniejszy właściciel Janikowa pod Poznaniem, nabył od bankiera Bambergera dobra Młodzikowo w powiecie średzkim za 400,000 marek. Dobra te obejmują 2400 mórg; morga kosztuje zatem $166^2/_3$ mk. Przewłaszczenie nastąpi z dniem 1 maja. „Pos. Ztg." donosząc o tem mocno ubolewa nad tą stratą dla niemczyzny.

— **Komisya** kolonizacyjna kupiła wolne sołectwo w Komorowie w powiecie obornickim za 188,788 marek.

— **Los Polaka na obczyźnie.** Górnik Brzeziński, który 5 i pół roku pracował w kopalni „Präsident" pod Bochum, a który przyłączył się także do niedawnego strejku górników, po ukończeniu takowego wydalony został bez podania powodu. Ponieważ jednak z terminatki wynikało, że wydalenie nastąpiło skutkiem przynależności do strejku, Brzeziński w żadnej kopalni nie mógł otrzymać zatrudnienia. Popadł więc z całą rodziną w najokrepniejszą nędzę, a gdy nadto żona obdarzyła go bliźniętami, nie był w stanie utrzymać ich przy życiu, bo sam nie miał co jeść. W rozpaczy swojej udał się B. raz jeszcze do dozórcy kopalni, prosząc o przyjęcie, ale ten szorstko odprawił go z niczem. Oburzony do żywego górnik dał się unieść złości, porwał kamień i wybił dwie szyby w biurze kopalni. Właściciel zaskarżył go o najście domu i w zeszły czwartek stawał B. przed sądem w Bochum. Obrońca jego zaznaczył, że znękany górnik dotąd nie mógł znaleźć zatrudnienia i scharakteryzował postępowanie dozórcy kopalni jako szyderstwo z wszelkich uczuć ludzkich. Uwzględniając smutne położenie oskarzonego, sąd skazał go na 6 mk. kary.

— **Sroda.** Posiedziciel dóbr p. F. Michalski w Wielkiej Kępie rozparcelował swój folwark Konstantynowo, i to 900 mórg. Gospodarz p. Walkowiak nabył 60 mórg, p. Kołodziejczak nabył 80 mórg, p. Bartkowiak 40 mórg, p. Spilpora 40 mórg, wdowa p. Paterakowa 60 mórg, wszyscy z Młodzikowa. Z Czarnek zaś nabyli gospodarze pp. Stępniak 60 mórg, Wojciechowski 40 mórg i Maroszek 30 mórg, płacąc za morgę po 100 marek. W najbliższym zaś czasie sprzedaną zostanie reszta obejmująca 400 mórg.

— **Gostyń.** Podług sprawozdania rocznego liczy miasto nasze 5449 mieszkańców, z których 4631 jest wyznania katolickiego.

— **Borek.** Hotel przy rynku kupił p. Zych z Krobi od p. Pincusa z Bydgoszczy za 24,500 marek.

— **Kościan.** Pan Banaszak, mistrz siodlarski, kupił od p. Abta, mistrza stolarskiego, dom przy placu Strzeleckim za cenę 25,000 mk.

— **Ostrów.** Nieruchomość p. Klimaszewskiego przy ulicy Kolejowej nabył mistrz rzeźnicki p. Lasota za 85,000 mk., a kamienicę p. Kleemanna przy ulicy Wrocławskiej drukarz p. Dwornik za 9000 mk.

— **Odolanów.** Potrzebni są w mieście naszem rodacy: golarz, rymarz, koszykarz i powroźnik. Okolica wielka; do parafii należy 17 wsi.

Czytelnik „Pracy".

— **Inowrocław,** 12 kwietnia. Wczoraj odbył się tu ślub cywilny znanego powszechnie literata i dramaturga p. Stanisława Przybyszewskiego, urodzonego na Kujawach, syna nauczyciela Józefa i żony Doroty z Grąbczewskich, żyjących na emeryturze w Wągrówcu, z panią Jadwigą Kasprowiczową z domu Gósowska, córką nadinspektora c. k. dyrekcyi kolei państw. Edwarda i zmarłej Joanny z Paidlych Gąsowskich ze Lwowa. — Posiadłość z kamienicą położoną tutaj przy ulicy Solankowej nabyła na subhaście pani Rubachowa z Poznania za 27,700 m.

— **Pszczew.** Aptekę tutejszą kupił aptekarz p. Jan Gmorek i otrzymał od władzy pozwolenie na dalsze jej prowadzenie.

— **Essen.** Przed tutejszym sądem przysiągłych skończył się w ubiegłym tygodniu po 5 dniowych rozprawach proces, wytoczony 14 polskim górnikom, którzy podczas tegorocznego bezrobocia na kopalni „Prosper", dopuszczać się mieli jakichś „nadużyć". Czterech uwolniono, natomiast 10 skazano na kary od 2 do 10 lat więzienia. — Wyrok to bardzo surowy. Na kopalni „Prosper", o ile nam wiadomo, pracują w przeważnej części Górnoślązacy.

— **Z Westfalii.** Zakaz noszenia „maciejówek." — Do „Dziennika Polskiego" w Dortmundzie piszą: „W Steele urzędnik policyjny zatrzymuje rodaków, którzy noszą maciejówki i zakazuje im, aby więcej razy maciejówki nie zawdziewali, w przeciwnym bowiem razie zapisze ich do kary. W niedzielę ostatniego marca druh Ignacy Dobrowolski idąc ze zebrania, spotkał się także z owym urzędnikiem, który i jemu zakazał nosić maciejówkę. Na zapytanie druha Dobrowolskiego, skąd to prawo wyszło, aby mógł zakazywać noszenia maciejówki — urzędnik odpowiada: „Nie wiem, czy z rejencyi czy z ministerstwa, ale kazano nam na maciejówki uważać i zabraniać ich noszenia."

— **Rodak nasz**, p. *S. Zientek*, otworzył w mieście naszem przy Starym Rynku nr. 74-y w domu Banku Przemysłowców wielki skład garderoby męzkiej jako też dla chłopców. Wybór ubrań jest olbrzymi a ceny nadzwyczaj tanie. Polecamy to nowe przedsiębiorstwo naszego rodaka względom naszych czytelników i życzymy mu jaknajlepszego powodzenia.

Nowości wełniane i jedwabne na sezon wiosenno-latowy w materyach na suknie poleca w dziale ogłoszeniowym p.

W. Łyczyński przy placu Wilhelmowskim nr. 2-gi — przystanek kolei elektrycznej.

Sztućce stołowe Chrystofla i Sp. w Paryżu w różnych fasonach sprzedaje po cenach fabrycznych, a pojedyńcze sztuki po cenie tuzinej p. *J. Stirk* przy ulicy Wilhelmowskiej nr. 21. Bliższe szczegóły w anonsie.

— P. **Artur Gustowski** w Opalenicy poleca wszelkie artykuły kolonialne po cenach hurtownych bez kunkurencyi. Korzystne źródło zakupna dla sprzedających z drugiej ręki. (Patrz ogłoszenia).

— **Najnowszy wielki ilustr.** katalog dzieł religijnych, książek do nabożeństwa, powiastek, gier itp. wysyła na żądanie darmo i franko p. *Karol Miarka* w Mikołowie (Nikolai O. S.)

Ruch w Towarzystwach.

— **Z nadesłanego sprawozdania** szpitalika dziecięcego św. Józefa w Poznaniu podajemy następujące szczegóły:

Zakład św. Józefa istnieje rok 27., przełożoną i główną założycielką jego jest Siostra Irena Łuszczewska, która w roku zeszłym obchodziła złoty jubileusz ślubów zakonnych. W roku ubiegłym stanęła kaplica zakładowa, w roku bieżącym ma się rozpocząć budowa nowego szpitala. Fundusze szpitalika powiększyły się r. 1904 o 1000 m. złożonych w akcyi Banku ziemskiego i o 7000 m. zebranych z okazyi srebrnego wesela pp. Józefowstwa Chłapowskich z Rzegocina. Dochody swe czerpał szpitalik św. Józefa, jak w latach poprzednich z subwencyi rocznych sejmu prowincyonalnego, magistratu miasta Poznania, sejmików powiatowych i ofiar dobrowolnych osób prywatnych.

Dochód wynosił 12 694 m. 50 fen., rozchód 14 575 m. 50 fen., tak że deficyt z r. 1904 i z lat dawniejszych wynosi razem 8 208 m. 33 fen.

Czynność lekarska w szpitalu dziecięcym św. Józefa obejmowała w r. 1904 ogółem 6 293 dzieci, które leczone i utrzymywane były. Do kliniki przyjęto w ciągu roku 459 dzieci, które przez 20 233 dni były utrzymywane, pielęgnowane i leczone, w poliklinice leczono 5 785 dzieci. Lekarstw wydano pacyentom poliklinicznym 7 799, klinicznym dzieciom 3 285.

Lekarzami zakładowymi są pp. dr. Krysiewicz i dr. Pomorski, kuratoryum szpitalika stanowią: ks. prałat Lewicki, poseł p. W. Jerzykiewicz i poseł p. L. Mizerski.

Nekrologia.

† S. p. *ks. Mikołaj Frydrychowicz*, emeryt, dnia 8-go b. m. w Tucholi, w Prusach Zachodnich, w dyecezyi chełmińskiej w 59-tym roku życia a 34-tym roku kapłaństwa. Wyświęcony na kapłana 25 lipca 1871 r, został wikarym w Raciążu. Po śmierci proboszcza, w czasie kultur kampfu, zarządzał samodzielnie tą parafią. Później urzędował jeszcze jako wikary na miejscach, jak w Strzepczu, Trąbkach, Skarlinie a najdłużej w Lubiowie przy proboszczu jubilacie ś. p. Rajmannie. W ostatnich latach niedomagał. Przed niespełna dwoma tygodniami przeniósł się do domu chorych w Tucholi i tam Bogu ducha oddał.

† S. p. *Maksymilian Pokrzywnicki*, pozasłużbowy radzca sądowy, dnia 13-go b. m. w Poznaniu w 58-ym roku życia. Zmarły pełnił urząd sędziowski tu w Poznaniu już przed 30-tu laty, następnie w Wschowie a od 10-ciu lat znowu w Poznaniu; od 1-go stycznia r. b. wziął emeryturę. Nieboszczyk należał do tych urzędników Polaków, którzy do narodowości swej wszędzie przyznają się otwarcie. Pogrzeb odbył się w Witkowie dnia 17-go b. m.

† S. p. *Jozef Wichliński*, dnia 13-go b. m. w Inowrocławiu, przeżywszy lat 67 Zwłoki złożono w grobie familijnym w Tucznie, dnia 17-go b. m. Nieboszczyk odznaczał się wielkiem przywiązaniem do ziemi rodzinnej, którą nieuszczuploną przekazał obu swym synom w Tucznie i Helenowie.

† S. p. *Józefa z Ruszczyńskich Łabędzka*, dnia 10 go b. m. we Wrześni, przeżywszy lat 74.

† S. p. *Kazimiera Pospieszalska*, uczennica konserwatoryum prof. Scharwenki, dnia 11-go b. m. w Środzie.

† S. p. *Ewa Pełczyńska*, dnia 11-go b. m. w Poznaniu.

† S. p. *Emilia Dobrowolska*, dnia 11-go b. m. w Rogoźnie w 25-tym roku życia.

† S. p. *Cecylia z Jerzykiewiczów Kuzdowiczowa*, żona nauczyciela z Sierakowa, dnia 12-go b. m. w 28-ym roku życia w Poznaniu.

† S. p. *Mieczysław Kaźmierski*, elew gospodarczy, dnia 13-go b. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 21.

Od Redakcyi.

„C. D. 3.“ Księgarnia A. Cybulskiego w Poznaniu.

Panu T. L. z Ch. — Patrz „Wiadomości.

— *Panu Kazimierzowi Walczakowi w Essen.* — Udaj się Szan Pan po informacye w tej sprawie do p. dra Pellowskiego w Kościerzynie (Berendt W/P.)

— *Panu M. Sz. w Szamotułach.* — Dr. M. Szulc w Poznaniu, św. Marcin nr. 5, I piętro.

— *Panu Aleksemu Waczyńskiemu w Łęgu.* — Możesz się Szan. Pan także zgłosić po informacye do p. Antoniego Namysła w Odolanowie (Adelnau), który ma do wydzierżawienia pomieszkanie po fryzyerze na głównej ulicy przy rynku.

— *Panu I. Nynkowskiemu na Górnym Szlązku.* — Pan Roland-Brzeziński — Pokrywka w Poznaniu starał się o pozwolenie, ale regencya odmówiła konsensu. Na razie teatru prowincyonalnego nie posiadamy.

Wiadomości literackie i artystyczne.

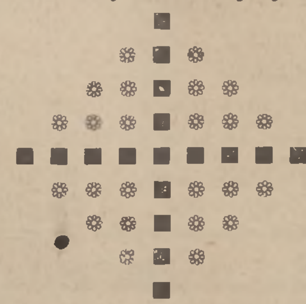
— **Mapa Górnego Slązka** *z uwzględnieniem stosunków językowych, granic powiatowych i kolei żelaznych. Opracował ks. Józef Gregor, proboszcz z Tworkowa. Cena 20 fen.* Mapa ta, wydana nakładem Karola Miarki w Mikołowie, jest bardzo użyteczną, tem więcej, że na okładce obok przedmowy znajdują się dane statystyczne co do wielkości, liczby Polaków, stosunku wyznaniowego i liczby katolickich parafii w poszczególnych miastach i powiatach. Mapę tę polecić możemy wszystkim, których sprawa polska na G. Ślązku interesuje.

Dział szaradowy.

I.

Łamigłówka. Ułożył *A. B.*

W poniżej zamieszczonych kwadratach i kółkach wpisać dziewięć wyrazów, tak ażeby wyraz środkowy w kierunku pionowym i poziomym oznaczał jedno z świąt dorocznyeh uroczystych.



Znaczenie wyrazów.

1) Głoska. 2) Osada w gub. Siedleckiej. 3) Metal. 4) Powiat w gub. Grodzieńskiej. 5) . . . . 6) Wieś w pobliżu Warszawy. 7/ Tło do haftu 8) Zwierzę domowe. 9) Głoska.

II.

Permutacya.

Ułożyła Zofia Stiisrówna z Stanisławic pod Cieszynem.

Topas, wina, Desna, rasa, Arno, Neumark, mira.

Powyższe wyrazy zamienić na inne, początkowe głoski tych nowych wyrazów mają symboliczne znaczenie.

Rozwiązania nadejść winny do dnia 29-go kwietnia rb.

Rozwiązanie łamigłówek z nr. 14-go.

Szarada I: **Wiosna.**

Szarada II: **Kromer.**

Dobre rozwiązanie nadesłał p. Tadeusz Adamczewski z Poznania.

Jeszcze wciąż można odnawić przedpłatę na „Pracę“ *na bieżący kwartał,* gdyż każda poczta zobowiązaną jest dostarczyć zaległe numery z bieżącego kwartału.

Kwity pocztowe na „Pracę“ na nowy kwartał zamieszczone są przed inseratami pod okładką.

Firmy polskie na prowincyi polecają się względom Sz. Czytelników.

Bnin.

W. Flens, (Hotel)
towary kolonialne, cygary, tytunie i t. d.

Buk.

Miecz. Szczodrowski,
drogerya.

Gniezno.

Materyały na suknie, płótna białe i kolor., firanki, bieliznę. trykotaże, rękawiczki, pończochy, chustki, miechy, płachty żniwowe etc. poleca
Leon Żychliński, Farna 18

Gostyń.

Z. Janaszewski.
Warsztat wyrobów ślusarskich. — Skład kół i maszyn do szycia

—

Zakład ślusarski **B. Urbanowicza** wykonuje drzwi żelazne, ogrodzenia parków, kraty grobowe i krzyże. Okuwa drzwi, okna i bramy i t. d.

Jarocin.

„Drogerya pod Kotwicą"
W. Chylewski,
poleca towary drog., apteczne, kolon. spec.: farby, pokosty, lakiery, mydła i perfumy w wielkim wyborze.

Jaraczewo.

Franciszek Flieger,
Handel kolonialny, szkła, żelaza, smoły, papy i cementu. Towary bławatne i krótkie.

Kępno.

L. Małuszek w rynku.
Skład bławatów, płócien, bielizny, stołowizny, firan, dywanów, konfekcyi damskiej i męzkiej i sukna.

—

Stara apteka i drogerya poleca wszelkie artykuły kraj. i zagr., mydełka, perfumy i inne kosmetyki.
Edmund Karłowski.

Kościan.

Hipolit Brzeziński, rynek, towary korzenne, łakocie, specyalny skład win.

Koźmin.

Teofil Pilarczyk
(dawniej Lissowski) hotel i restauracya; tow. kolonialne, cygara wina, i destylacya.

—

Centralna Drogerya
K. Suwaliński
Towary drogeryjne i kolon., farby, lakiery, perfumy i td.

—

Maryan Kołaski
Skład sukna, materyałów na suknie, jedwabii, płócien, stołowizny, bielizny. firan, kobiercy, towasów modnyeh, białych i krótkich.

Kobylin.

J. Gajowczyk.
Pracownia garderoby męzkiej podług miary, oraz jedyny polski skład sukna, bielizny, kapeluszy. Wielki wybór ubiorów gotowych dla dzieci i dorosłych. — Ceny najtańsze.

Kostrzyn.

Michał Woźny
poleca skład bławatów, płócien, materyi na suknie, bieliznę, chustek, stołowiznę, trykotarzy, kapeluszy i gotowej garderoby męzkiej w wielkim wyborze. Ceny stałe.

Kórnik.

L. Ellmann, Hotel Viktoria
skład win, araków, rumów, koniaków i cygar.

Krzywiń.

Drogerya pod Aniołem
J. Dobrowolski,
ul. Kościelna.
Oliwy i smarowidła. Artyk. apteczne drog. toalet. i domowe. Skład win i cygar. Farby, lakiery, pędzle i szczotki. Proszek dla świń.

Lessno.

Pomorski & Karczewski
właść.: Józef Pomorski, skład bław., płócien, konfekcyi itd.

—

„Orłow" A. Zakowski.
Fabryka papierosów, tytoniu, kartonaży i gilz.

Miejska Górka.

A. Wybieralski.
Hotel. — Handel żelaza długiego i krótkiego, artykuł. budowl. i tow. kolonialnych.

Mosina.

Stanisław Michałowski
Zakład malarski artystyczno-dekoracyjny. Wykonuje wszelkie restauracye jako też nowe budowy, kościoły, sceny teatralne itp. Specyalnośc: pejsaże. Kosztorysy i szkice bezpłatnie.

Oborniki.

E. Speichert obok apteki
hurtowny i detaliczny skład towarów **drogeryjnych i farb.**

Ostrów.

J. Kopecki, Ostrów, ul. Koszarowa 20 i Osiek (Netzthal. Własna fabryka wszelkich pomp i specyalny interes kopania i wiercenia studzien na wielką skalę; dostarczania wody na każdem miejscu.

—

J. Obecny, przy starej aptece.
Skład bławatów, bielizny i konfekcyi damskiej.

Ostrów.

Drogerya pod złotym jeleniem
F. Anczykowski dawn. T. Mazur,
rynek 21, telefon 67,
poleca farby, lakiery, pędzle, karbolineum, smarowidło na osie, oliwy do machin itd. Hurt. i detalicznie.

—

W. Woziwodzki,
skład bławatów, sukna płócien, bielizny damskiej i męzkiej. — Konfekcya damska.

Pleszew.

Drogerya **F. Kurowski.** Skład chemikaliów, parfumeryi. — Nawozy sztuczne wszelkiego rodzaju.

Rawicz.

„Globus" (I. Mrówczyński)
Szklarnia budowlana i artystyczna. Specyalnośc: okna wystawne. Oprawa i skład obrazów. Skład luster, dewocyonalii i mat. piśm.

—

Poznański Dom towarowy
Adama Ratajewskiego
poleca bławaty, płótna, bieliznę, konfekcyą itd.
Ceny tanie, lecz stałe.

—

J. Mroczkowski.
Skład tow. kolonialnych, delikatesów, herbaty, araków, wodek i cygar. **Handel win** Drogerya: farby, lakiery, perfumy smarowidła na osie, oliwy do machin etc.

Śmigiel.

J. Abt jr.
Handel żelaza i wszelkich artykułów budowlanych.

—

M. Stachowiak.
Skład towarów drogeryjnych, kolonialnych oraz przyborów fotograficznych.

—

J. Karpiński.
Pracownia gard. męzkiej, skład sukna, bielizny i innych artykułów, gotowej gard. dla dorosłych i dzieci.

Śrem.

Cennik
B. Rychlewski, zegarm.
Skład zegarów ściennych i kieszonkowych, optycznych przedmiotów, wszelkiej biżuteryi
franko!

—

A. Zwierzchowski,
pierwsza polska fabryka **siatek drutowych na płoty** w Śremie.

Szamotuły.

Tomasz Walczyk
handel tow. kol., zboża, mąki i nasion. Wymiana wszelkiego zboża na kasze lub mąkę.

—

Antoni Schwarz.
Zakład dentystyczny. Praktykuje od roku 1894. Sztuczne zęby, plomby złote, srebrne itd., leczenie chorych zębów, wszelką operacyą wykonuje bez bólu. Ceny przystępne.

Strzałkowo.

Nawjększy dom towarowy
W. Ziarniaka
poleca materye wełniane i na suknie, płótna, towary krótkie, garderobę męzką w najnowszych fasonach gotową i podług miary.
Równocześnie polecam darte gęsie pierze po 2,50 i 3,00 marki za funt.

Września.

Centralna Drogerya
H. Bąkowska naprz. poczty
poleca wszelkie artykuły **gospodarcze i domowe.**
Farby, lakiery, pokosty.
Artykuły fotograficzne.

—

Edw. Kubale mistrz blach.
pokrywa dachy cynkiem, koprowiną, papą podwójną. Wykonuje dachy holcementowe nowuje dachy udzone.

Wolsztyn.

Drogerya pod gwiazdą I. Kowalski. Skład towarów drogeryjnych, smarowideł, farb, lakierów i pędzli.

—

„Bazar" (Józef Łukomski)
Handel żelaza, materyałów budowlanych, oraz maszyn i narzędzi rolniczych.
Telefon nr. 20.

Zaniemyśl.

Stanisław Preiss.
Pracownia pojazdów i lakiernia, gotowe pojazdy, bryczki itp. Fabrykacya ogrodzeń, nadgrobków z żelaza kutego.

Miejsce wolne do dalszych ogłoszeń.

Humorystyka.

Komu i czego życzy „Praca“ przy święconem?

Noworodkom — dobrego rodziców wy-
[boru,
Niemowlętom, co jeszcze nie liczą pół-
[roczku,
Pociechy z piersi mamci, lub w obfitym
[smoczku,
Studentom z klas *b. dobrze*, z obyczajów
[— *wzoru.*
Panienkom, które liczne zwiedzają pen-
[siony,
Co rychlej pożądanej nazwy: drogiej
[żony.
Rolnikom dużych plonów na rodzajnej
[glebie,
Przemysłowcom, handlowcom dochodów,
[pieniędzy,
A wszystkim najmniej długów w życio-
[wej potrzebie,
Niech każdy żyje w szczęściu, w dostat-
[kach, bez nędzy.
Tym, którzy mają *mało* życzy „Praca“
[*wiele*,
Tym, którzy mają *wiele* życzy jeszcze
[*więcej*
I sobie życzeniem sama posłanie ściele:
Dla siebie abonentów choćby 100,000!

„Praca“

Wielkanocny obertas.

Tańczą ze „święconem“ stoły...
W kółko kręci się kiełbasa...
Prosiak wyraz ma wesoły...
A z jajami szynka hasa...
Ludziom śmieją się oczęta...
Każdy przestał być dziś żmiją...
. . . .
Tak wesoło tym co w święta
Tylko polskie trunki piją!...

Idylla wielkanocna.

Młodzik dziury miał w kieszeniach,
A chcąc między być Nababy,
Jął zalecać się do starej,
Lecz zasobnej w grosze *baby*.
— Pani! — wołał — żywię dla cię
Miłość w sercu mem junackiem...
Widzisz, oto twój wielbiciel
Padam dziś przed tobą *plackiem*.
Uwierzyła babcia kłamcy,
Uczuć kwiaty — rzekła — lubię!...
Wkrótce związek serc *święcono* —
Raz, dwa — i już są po ślubie.
Lecz opina jednym schlebia,
Drugim gniewnie grozi palcem,
— On — szeptano — toż to *prosię* —
Ona *babą*, lecz z zakalcem.

Protegowana kura.

Że na tym świecie jest protekcja
Nie tylko wpośród ludzi,
Ale jest także wpośród zwierząt,
Nikt przeczyć się nie trudzi.

Wybrańcy jeno są szczęśliwi —
To nie jest zadna bajka! —
Szczęśliwa kura, której dano
Święcone znosić jajka!

Miłą jest sława!

„Miłą jest sława pośmiertna,
Którą obdarzasz nas losie!“ —
Rzekło wśród wieńca z bukszpanu
Pieczone, świąteczne prosie.

Kanibalizm

Święcone! — rzecz barbarzyńska,
Ja jestem jego rywalem,
Wszakże w dniu tym każdy Polak
Czem staje się? — Kanibalem!

To wyrażenie okropne
Może jest jeszcze za słabe:
Jakżeż nazywać człowieka,
Co bez skrupułu je — babę?

Maciek a nuże!

— Maciek, zełgaj co, a nuże!

— Et, nie mam czasu. Bo to wczoraj koleja wiezła rabina z Pacanowa. Żydzi jak jęli wykrzykiwać, a czapkami machać, to się maszyna spłoszyła, poszła w bok i wywróciła. Wypadku na szczęście nie było żadnego, bo się wszyscy na śmierć pozabijali.

Niezwykły środek.

„Prydnip. Kraj.“ przytacza oryginalne zdanie z raportu jakiegoś strażnika ziemskiego do sprawnika:

„Wczoraj w powierzonym mi rewirze było trzęsienie ziemi, lecz dzięki zarządzeniom policyi, wkrótce ustało.“

Feralny dzień.

Jedno z pism niemieckich podaje:

Pewien woźnica w Heidelbergu chciał wziąść ślub 1 kwietna. — On był katolikiem, ona protestanką. Zebrawszy tedy wszelkie papiery potrzebne do ślubu cywilnego, udał się z niemi do swego miejsca urodzenia w Czarnym Lesie. W urzędzie gminnym wywiązał się między niem a burmistrzem następujący djalog:

— Więc pan chcesz mieć ślub koniecznie w dniu 1 kwietnia?

— No, a cóż temu przeszkadza?

— Jakto co? — Czy pan nie wie, że dzień 1-szy kwietnia jest dniem feralnym? Jestto przecież dzień urodzin Bismarcka!

Westchnienie strojnisi.

Za słonkiem i wiosenką
Tęskni moja dusza,
Lecz więcej wiosennego
Brak mi kapelusza.
Gdy w fiołki i róże
Mą główkę przystroję
Choćby wichry i burze —
O wiosnę nie stoję!

Z pieśni sielskich.

Za stodołą — za wujową,
Stoi miemiec kiwa głową.
Ejże głową tak nie kiwaj,
Ziemi wziąść się nie spodziewaj,
Choćbyś myślał lat dwie kopy,
Nie puszczą jej z reki chłopy.

Odprawa.

— Dla pani potrafiłbym umrzeć.
— Jakby mnie to cieszyło.

Znawca.

Prosi luby swej kochanki:
Zaśpiewaj mi twe „marzenia“
Ona spiewa „kołysanki“
A on chrapi — z rozczulenia!

Bank Związku
Spółek Zarobkowych
w Poznaniu

przyjmuje **depozyta** i płaci zależnie od długości wypowiedzenia $3^1/_2$, 4, $4^1/_4$ i $4^1/_2$%, obliczając procent od dnia złożenia pieniędzy. Od kapitałów większych, płatnych każdego czasu, oblicza 1% niżej każdorazowego dyskontu Banku Rzeszy, wszakże nie niżej $3^1/_2$%,

poleca się do **zaprowadzenia kont czekowych** na mocy deponowanej gotówki, zwracając szczególną uwagę, że czeki płatne są bez wszelkiej prowizyi także w Berlinie,

kupuje i sprzedaje **listy zastawne, rentowe i wszelkie papiery państwowe i giełdowe,**

zmienia **pieniądze zagraniczne** i wydaje **przekazy i akredytywy** na wszystkie ważniejsze miasta europejskie i amerykańskie,

dyskontuje **weksle** i udziela pożyczek na zastaw **hipotek,**

wydzierżawia **kasetki** w swym **trezorze stalowym** do przechowywania walorów przedmiotów wartościowych. 359

Hurtownie! Detaliczne!

Farby,
Pokosty, lakiery,
froter, masę woskową

do odświeżania podłóg, mebli ogrod., płotów etc., jako też potrzebne 650

szczotki i pędzle

do tychże

Carbolineum

koloru orzechów. — Wszystko znane ze swej dobroci poleca po znanych tanich cenach **hurtownie i detalicznie**

Centralna Drogerya
J. Czepczyński,
Poznań, Stary Rynek 8.

Telefon nr. 238.

Polecam niniejszem mój

zakład ślusarski,

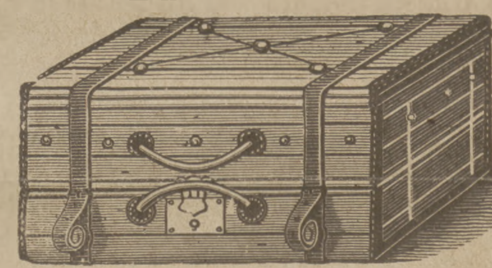
w którym jako specyalność wyrabiam **kraty nagrobkowe** na jeden lub więcej grobów, **kraty do Bożych mąk i krzyże** wszelkiego rodzaju. Nadto polecam w wielkim wyborze **pomniki, tablice** marmurowe i szklane. Ustawianiem pomników, krat i t. p zajmuję się osobiście. Kraty gotowe w znacznym wyborze zawsze na składzie. 43

Stanisław Brzozowski, mistrz ślus. i fabryka krat
Poznań, Wielkie Garbary 45.

Złoty krzyż i medal: Hamburg. Paryż. Wiedeń. 1904.

„Italia"
Fabryka makaronów i opłatków
Poznań,
Tama Garbarska 25-28
poleca swoje wyroby po stałych cenach przy skorej i rzetelnej usłudze tylko hurtownie. (57

Za 10 marek



kuferek z 2 fałdami

Wielkość:	48 cm.	54	60	65
Cena:	10,— mk.,	12,—,	14,—,	16,—

Lepsze z narożnikami i bardzo dobrym zamkiem, 2 kieszeniami w środku

48	54	60	65 cm.
14,—	16,—	18,—	20,— mk.

tylko własny wyrób poleca **fabryka kufrów i torb**
N. Wolniewicz, siodlarz
Poznań—Bazar. 98

Bardzo tanio! Bardzo tanio!

Kołowce

począwszy od **m. 73. Wyścigowce** po cenach wyjątkowych. Specyalna marka: 127

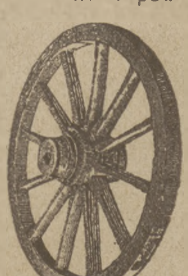
Kołowiec narodowy „Sokół"

nadzwyczaj lekko chodzący; fabrykat wyborowy pod 2-letnią gwarancyą.
Maszyny do szycia — kołowce motorowe — maszyny do prania i wyżdżymania. Samochody.
Wszelkie reparacye po cenach nadzwyczaj tanich.
Wielki zapas wszelkich części do kołowcy.

K. Walczyński
Plac Wilhelmowski 14.

hurtownie i detalicznie **Spłata częściowa dozwolona.** Cenniki grat. i frk.

Rzetelnie i pod gwarancyą



dostawia wozy i koła wszelkiego rodzaju każdego czasu 150

J. Staszak
kołodziej,
Poznań,
Bukerstr. 17.
(Posen).

Kurs nauki szycia i kroju toalet damskich

podług najlepszego i najłatwiejszego systemu można pod bardzo przystępnemi warunkami zaczynać każdego czasu. Po dokładnem wyuczeniu się można dostać stałe zajęcie. 458

Bronisława Gałecka,
Confection de dames.
Poznań, Jezuicka ulica nr. 12

Dobre posady
dla 197
bon i wychowawczyń
z doskonałym niemieckim. Zgłosić się proszę do p. **Karpińskiej w Warszawie, Moniuszki 7.**

Oszczędności i wkłady
przyjmujemy i płacimy: 183
przy wypowiedzeniu kwartalnem 5 procent,
„ „ półrocznem $5^1/_2$ „
„ „ całorocznem 6 „
od dnia złożenia pieniędzy, obliczając procenta co pół roku. Pewność zupełna.
Kujawski Bank Parcelacyjny,
E. G. m. b. H.
w Inowrocławiu (Inowrazlaw).

Kto zamierza założyć
skład kolonialny
ten niech się z całem zaufaniem uda do firmy hurtownej 213
Artur Gustowski
w Opalenicy.
Każdy kupujący **za gotówkę** otrzyma tam ceny **bez konkurencyi.**

Poznań, Rycerska ul. 15.

Zakład leczniczy dla chorych
na nerwy i na cierpienia przewodu pokarmowego (przełyku, żołądka, kiszek, wątroby) **włącznie chorób przetwarzania się materyi** (otyłości, choroby cukrowej, podagry bladaczki, etc.) w połączeniu **z zakładem wodoleczniczym. Kuracye dyetyczne. Kąpiele elektryczne z prądem zmiennym i faradycznym. — Masaż wibracyjny elektr. i ręczny.** 19
Kąpiele elekryczne świetlane.
Kąpiele wszelk. rodzaju. Gimnastyka szwedzka.
Dr. Zakrzewski. Dr. Panieński.

Właściciele i Wydawcy: „Praca" Drukarnia Nakładowa Sp. z ogr. p. — Redaktor odpowiedzialny: Bolesław Rakowski w Poznaniu.
Drukiem „Pracy" Drukarni nakładowej w Poznaniu.